№ 13. Warszawa, dnia 30 (18) Marca 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Do dzisiejszego numeru **Prawdy** dołączamy dodatek kwartalny, ark. 13—18 **Antropologii Tylora.**

POLITYKA.

KWAŚNE MINY.

W sejmie pruskim odbyły się znowu aż dwie małe utarczki o skórę polaków pruskich, a raczej o ich duszę i ciało. Z duszą załatwiono się bardzo prędko. Poseł Czarliński spróbował jeszcze raz głosu wołającego na puszczy i postawił wniosek przywrócenia wykładowi religii w szkole języka ojczystego, który — jak wiadomo — tylko w Prusiech został z niej wyparty. Po mowach poznańczyków, lekko wspartych ze strony centrum, minister Gossler odpowiedział krótko i węzłowato: przestańcie myśleć o jakiejkolwiek zmianie w tym kierunku. Ale do tej odprawy dodał kilka uwag, które powtórzyć warto. „Władze otrzymały polecenie, ażeby możliwie najsłabiej przeciwdziałały staraniom uzupełnienia nauki rządowej nauką prywatną. Mimo to *tylko jedna* dama ze szlachty energicznie udziela lekcyj religii. Związki (Vereine) rodziców, zajmujące się wykładami polskimi, nie mogą powstać na nogi, chociaż im rząd nawet włosa nie zakrzywia. Polacy wybuchają ogniem na zewnątrz, ale nie zabierają się do poważnej i trwałej pracy."

Rzecz dziwna, tego zarzutu żaden z posłów poznańskich nie odparł.

Naturalnie wniosek, już potem przez nikogo niebroniony, upadł.

Szerzej roztoczył się spór, wywołany sprawozdaniem z zastosowania ustawy germanizacyjnej i kolonizacyjnej. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że jej ojcowie nie mogli sztucznym śmiechem osłonić min dość kwaśnych. Maszyna karczująca działa powoli, a o ile działa — wyrządza dotkliwą szkodę niemcom, pozbawiając ich robotnika. Wspominaliśmy o mowie Puttkamera, brata ministra, który już dawniej z tą skargą się odezwał. Otóż pan ten przemówił również w sejmie. Wyraził on naprzód żal, że „musiano" chwycić się takiego środka przeciw polakom, a nawet przyznał „pewne winy." Z całą szczerością zdradził kłopoty ziemian, których polityka pozbawiła sił roboczych. Ciekawe były jego wysiłki w celu sprostowania jakoby mylnych doniesień o jego mowie poprzedniej, w której wolą kanclerza umył swego brata. Tym razem oznajmił, że między tymi dwoma fabrykantami maszyny *ausrotten* nie istniała zasadnicza różnica zdań co do potrzeby wypędzenia polaków, tylko Puttkamer chciał tę operacyę odwlec „w interesie rolnictwa" a Bismark nastawał na natychmiastowe wykonanie jej „w interesie polityki."

Z kolei nasunęła się kwestya „chińska," którą winniśmy objaśnić nawiasem. Chcąc zaradzić brakowi robotników, jeden z obywateli niemieckich zaproponował sprowadzenie... chińczyków na miejsce wygnanych polaków. Pomysł ten był rozbierany w pewnem stowarzyszeniu rolniczem, z którego dostał się do władz miejscowych a wreszcie do ministeryum. Zagadnięty w sejmie ministeryum Lucius oświadczył, że jest to *curiosum*, żart, nad którym zastanawiać się nie warto. Tymczasem — jak słusznie mówi *Frankf. Ztng*— owo *curiosum* nie brzmi wcale zabawnie. Przez nie bowiem posiadacze większej własności ziemskiej chcieli jaskrawo wyrazić swoje kłopoty i niewątpliwie, gdyby na to pozwalała polityka a zwłaszcza obawa ekonomicznych skutków napływu chińczyków, chętnie otworzonoby im wrota. Ale po za nieprzystojnością takiego ratunku stoi strach, jaki budzą synowie „państwa niebieskiego," wypierający wszystkich robotników, gdziekolwiek osiądą. Pracowici, żyjący glodem, skromniejsi w swych potrzebach i wytrwalsi, niż żydzi, wytwarzają niepokonane współzawodnictwo. Potrzebaby więc było znowu urządzać *ausrotten*, daleko uciążliwsze, a przytem wielce zabawne.

Bądź co bądź przez koncept sprowadzenia chińczyków do tego samego miejsca, z którego niedawno wyrzucono 30,000 ludności rodzimej, wychyla swą ironiczną twarz Nemezys dziejowa. Brzmi to niemal jak jęk pokutny, gdy prawica sejmu, która tak namiętnie i tak niedawno oklaskiwała karczownicę germanizacyjną, teraz albo milczy, albo wzdycha żałośnie — za kim? Za tymi, których wygnano. Tu i owdzie z zaciśniętych politycznie ust przedziera się nawet niechęć do rodaków, do śmieci zgarniętych z rozmaitych kątów państwa, dla opanowania niemi ziem nabytych. Nie przyszły żywioły pracowite i uczciwe, ale napłynęły szumowiny, które zanieczyściły grunt moralnie i ekonomicznie. Dzięki tym doświadczeniom, komisya kolonizacyjna będzie coraz częściej zasmucała odmową tych zacnych „obywateli" poznańskich, którzy napraszali się do jej worka ze swymi majątkami. Zalecono jej w sejmie i zrozumiała to sama, że musi teraz raczej starać się o utrwalenie, niż o rozszerzanie zdobyczy.

TRYUMFY PARNELLA.

Nie to jest ohydnem, że rząd angielski, połączywszy się z *Timesem*, na podstawie sfałszowanych przez Pigotta listów, usiłował moralnie i materyalnie zgnębić Parnella, bo mógł być wprowadzony w błąd

przez oszusta, ale to, że nie przestaje świadomie fabrykować łotrów, zeznających przeciwko przywódcy irlandzkiemu, że popiera jawny najem przekupywanych świadków. Ostatecznie wyciągnięto niejakiego Coffeya, również dziennikarza, jak Pigott, i również bezczelnego krzywoprzysiężcę. Uchodził on za wtajemniczonego w sprawy ligi, więc dwaj policyanci namówili go i sprowadzili do adwokata *Timesa* w Dublinie, Shannona. Otrzymawszy 150 funtów (1,500 rs.) i obietnicę korzystnej posady przy gazecie, odkrył wreszcie „tajemnice, które nosił zamknięte w swej piersi,“ wyznał, że jest członkiem ligi, że członkowie parlamentu Finuncarce i Carew wydali na dwu farmerów wyrok śmierci, że morderców wynagrodzono z funduszów ligi — itd. Naturalnie tak ważnego i zabójczego oskarżyciela przedstawił sądowi sam sir Henryk James, odświętny adwokat *Timesa*, który spodziewał się zatrzeć złe wrażenie, wywołane fałszerstwami Pigotta. Z tryumfującą miną rozpoczął on badanie drogocennego świadka:

— Byłeś pan fenianinem i członkiem ligi?

Coffey oparł się o poręcz loży świadków, spojrzał drwiąco na sir Henryka i odrzekł spokojnie:

— Broń Boże, ani myślałem.

Słuchacze wybuchnęli śmiechem.

— Co pan mówisz? — zawołał oburzony adwokat.

— To, że nigdy nie byłem ani fenianinem, ani członkiem ligi.

— Ale uczestniczyłeś pan w zebraniu, na którem postanowiono...

— Jakże mogłem uczestniczyć w zebraniu, jeśli nie byłem członkiem ligi.

— Ale pan przecie złożyłeś zeznanie...

Coffey znowu się uśmiechnął.

— Dlaczego nie miałem go złożyć, kiedy tego żądano i dobrze zapłacono.

— Czy zeznanie pańskie przed adwokatem *Timesa* jest prawdziwe, czy nie! — zagrzmiał sir Henryk.

— Nieprawdziwe — odpowiedział Coffey zimno.

— A więc skłamane?

— Możesz pan je nazwać, jak ci się podoba, ja je nazywam tworem mojej wyobraźni — literat musi mieć fantazyę.

Publiczność zaczęła śmiać się do rozpuku. Sędzia prezydujący, chcąc położyć koniec tej gorszącej scenie, rzekł surowo do świadka.

— Jak pan mogłeś dopuścić się takich kłamstw, które muszą pociągnąć za sobą najgorsze następstwa bądź dla oskarżonych, bądź dla zawiedzionych.

— Czemu nie?— odparł Coffey niedbale. Towaru żądano i dobrze zapłacono; dostarczyłem go na obstalunek a przytem rad byłem, że mnie p. Soames (inny adwokat *Timesa*) wezwał do siebie i dał sposobność obejrzenia Londynu cudzym kosztem. Nie sądziłem, że stanę jako świadek, i ostrzegałem p. Soamesa, ażeby mnie do sądu nie powoływał. On wiedział, że puszczę wodzę mojej fantazyi.

Scena ta pociągnęła się jeszcze dalej, gdyż, prezydujący za „znieważenie sądu“ kazał Coffeya odprowadzić do kozy i nie pozwolił mu przedstawić listów, przekonywających, że adwokaci *Timesa* wiedzieli o jego „tworze fantazyi.“

Trzeba przyznać, że Parnell ma dziwne szczęście. Dwa razy przeciwnicy postawili przeciw niemu zabójczych świadków i dwa razy sami wpadli w własne potrzaski. To musiało oddziałać na opinię publiczną po za granicami narodu irlandzkiego. Nie dziwno też, że wielki meeting, zwołany dla wyrażenia protestu przeciwko złej wierze, oszustwu i zaciekłej niesprawiedliwości, zamienił się na apoteozę bohatera, którego ścigają i dręczą te furye. Oto jak korospondent z dzienników niemieckich opisuje przebieg uroczystości. Wielka James-Halle zatłoczyła się szczelnie. Można było w niej widzieć przedstawicieli wszystkich warstw społecznych: robotników, kupców, studentów, profesorów, artystów, duchownych, lordów, młodzież, starców, kobiety. Całą tę masę przenikał głęboki i potężny zapał dla patryoty irlandzkiego. Gdy wreszcie o godzinie 8 ukazał się Parnell, sala zabrzmiała takim krzykiem i oklaskami, jakich zapewne ściany jej nigdy dotąd nie słyszały. Spokojny, zimny, z lewą ręką na taśmie, jeszcze bledszy niż zwykle, stał z pochyloną głową przed czczącem go zebraniem. Naprzód przemówił Morley, przewodniczący meetingu, piętnując oszczerców i wrogów Irlandyi, niedopuszczających pojednania jej z Anglią. Po nim powstał Parnell a z nim cała sala, w której rozległy się okrzyki nieustające, tak, że dopiero zagranie na organach hymnu uciszyło wrzawę i pozwoliło przyjść do słowa Parnellowi. Spokojnym, dźwięcznym głosem, nie zdradzając najmniejszego wzruszenia, podziękował on „w imieniu Irlandyi“ za przyjazne uczucia „braterskiego narodu angielskiego“ i powtórzył skargę Morleya. Kiedy skończył, okrzyki zagrzmiały z poprzednią mocą. Mówili jeszcze Russel (jego adwokat) i Bradlaugh (słynny przekornik parlamentarny). Naturalnie naganę dla rządu przyjęto jednogłośnie.

Kogo jeszcze *Times* z rządem przeciw Parnellowi wynajdą — nie wiadomo; ale można być pewnym, że choćby wreszcie najęli sobie „świadków niezawodnych,“ nie zatrą już wrażenia swych sromotnych porażek i tryumfów przeciwnika.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 23 marca.

Tryumfy reakcyi w gminie wiedeńskiej. — Szkoła wyznaniowa. — Gautsch i Gregr. — Stanowisko Galicyi wobec wniosku Lichtensteina. — Walki parlamentarne i uliczne w Peszcie. — Tisza pod zarzutami. — Strzał w parlamencie węgierskim. — Konstytucyonalizm a temperament.

W radzie miejskiej Wiednia i w parlamencie austryackim wystąpiły w ostatnich dniach objawy, które grożą przechyleniem wagi państwowej na stronę szali reakcyjnej. Zdarzenia te nie były niespodziane, stanowiły one raczej wynik agitacyj od lat kilku prowadzonych; jeno że te agitacye lekceważono sobie i zbywano kpinami, podczas gdy tenże sam kierunek, uwydatniający się w groźnej ilości głosów, śród ciał obradujących budzi postrach i powoduje stronnictwa przeciwne do silniejszego zorganizowania się i działania. Trudno zrozumieć to, co się dziś przygotowuje w ratuszu i parlamencie wiedeńskim, jawnie i za kulisami, nie znając dziejów stronnictw walczących dziś z sobą. Jeszcze przed czterema laty istniały w Wiedniu dwa tylko stronnictwa: liberalne i demokratyczne. Pierwsze, aczkolwiek usunięte od steru spraw państwowych, w Wiedniu było jednak najmożniejszem, gdyż rozporządzało znacznymi kapitałami, wpływami i całą niemal prasą; było ono politycznie—centralistycznem, ekonomicznie—wolnohandlowem.

---

1)

NA PROGU.

FANTAZYA.

Kiedy Alojzy opuszczał dom rodzicielski, Marta i Jan żegnali go czule. Ona mówiła:

— Bądź dobrym, niczego więcej nie pragnę. O, gdyby słowa moje stać się mogły skrzydlatym aniołem, któryby cię od złej myśli i złego czynu osłaniał, synku mój najmilszy!..

Usta matki i syna złączyły się w pocałunku, a ręce w uścisku splotły. Oboje czuli, iż jeden strumień życia, myśli i uczuć opływa ich ciała; w obojgu dziwnym bólem, rozkoszą i tkliwością zadrgało wspomnienie, tkwiące w każdej ciała cząstce, iż niegdyś stanowili — jedno. Spojone wargi: suche i zwiędłe — kobiety, różowe, wilgotne i pełne — chłopca, nie chciały się rozerwać, a gdy uczynić to musiały, usta ich zaszemrały bolesną skargą.

Lecz Jan ujął syna za rękę i powagą swego wzroku wrócił mu męztwo. Potem wyprowadził go na wzgórze, skąd oko mogło ogarnąć rozległą dolinę: pośrodku jej błękitną i nieruchomą powierzchnią rozlało się jezioro, a dokoła niego rozrzucone śmiały się w słońcu białemi ścianami domy osady. Dzień był jesienny, mgły ranne podniosły się już i uleciały, a tylko najcięższe z nich niebieskawą zasłoną otulały szare i obnażone grzbiety wzgórz. Między ścianami głębokiego parowu, u nóg Alojzego i Jana kryła się ich chata, ukazując tylko strzechę, z pod której wylatały stada wróbli i co prędzej znów pod nią wracały. Kilka srok szczebiotało w powietrzu pożegnania dla chłopca. Z chaty jednej wyszła kobieta i przysłaniając dłonią od słońca swe oczy, przyglądała się ludziom, stojącym na szczycie wzgórza; potem uczyniła ręką znak pożegnania; ruch ten powtórzyli i inni ludzie, starcy, kobiety i dzieci, których dzień pogodny zwabił na oblane słońcem przyzby. Wówczas Jan, roztaczając ręką krąg nad doliną, rzekł:

— Gdy będziesz bardzo zmęczony i smutny, przypomnij sobie o tym zakątku ziemi. Wiem, że będziesz walczył do końca, lecz nie zawsze najsłabszymi i najgorszymi z ludzi są ci, którzy nie mogą dojść do wielkich celów, jakie w zaraniu życia z najczystszych głębin ich ducha wschodziły niby słoneczne widma. Więc wyrzut cię tu nie spotka, a serca, które tęsknotą po tobie bić będą, zachowają zawsze ciepło dla rozgrzania zmrożonego ducha.

Uścisnął go i zostawił samego.

Alojzy uszedł już spory kawał drogi, gdy nagle wiatr powstrzymał go echem czyjegoś wołania. Odwrócił się i dojrzał ludzką postać, spieszącą po drodze przebytej przez niego. Od wiatru szybciej podbiegł do niej i w ramiona pochwycił Martę.

— Chciałam ci jeszcze powiedzieć... Gdybyś uczynił kiedy co złego... — mówiła zadyszana, a zmęczenie rwało nitki jej wyrazów.

— To ty jedna przebaczyć byś mi mogła, choćby wszyscy potępili? To chciałaś powiedzieć? — pytał Alojzy, niosąc ją w ramionach na skraj drogi i sadzając na kamieniu, przy którym ukląkł i głowę na jej kolanach położył.

Marta nachyliła usta ku uchu jego.

— Możeby wargi nie chciały przepuścić słów przebaczenia, lecz serce... O radosny poranku mój! — szeptała — gdybyś ty się grzechem splamił, jabym cię sama oddała na śmierć lub na hańbiącą karę, lecz wpierw

Wpływ swój przywykło ono sprzedawać drogo, ale chętnie; prowadziło też niezliczone interesy i brukało się w szacherkach. Stronnictwo demokratyczne, zwalczane przez liberałów, składało się z dwóch żywiołów: umiarkowanego, stojącego na gruncie z 1848 r. i skrajnego, nacechowanego umiarkowanym socyalizmem. Udało się prasie liberalnej rozbić je; uderzała ona dopóty na jego przewódców, aż jedni stracili znaczenie, a drudzy wstąpili w szeregi nowopowstającego stronnictwa antisemickiego. I tak Kronawetter, istotnie jeden z najdzielniejszych wodzów partyi demokratycznej, był tylokrotnie napiętnowanym przez prasę liberalną jako głupiec i oszust, że przez czas jakiś uchodził za figurę śmieszną i nikczemną; a jednak tenże sam Kronawetter reprezentował liberalizm w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, żądał rzeczywistego stosowania ustaw zasadniczych, istotnej swobody zgromadzeń i stowarzyszeń, słowa i prasy, uszanowania praw narodowych i poprawy bytu robotników. Dawniejsi koledzy jego, jak Lueger, Türk, Vergani, poszli pod sztandar Schönerera, który głosząc hasła czystości moralnej i narodowej, rozpoczął walkę przeciw stronnictwu liberalnemu jako przesiąkniętemu zgnilizną i opierającemu się na wpływach żydowskich. Antisemici, nie spodziewając się na razie praktycznych zwycięztw w parlamencie, rozwijali agitacyę głównie wśród mieszczaństwa wiedeńskiego; a o ile usiłowania ich nie były bezskuteczne, okazały odbyte świeżo wybory uzupełniające do rady gminnej Wiednia. W każdej niemal kuryi wybrano antisemitów, tak, iż wprawdzie dotąd w radzie większości jeszcze oni nie mają, atoli już się do niej zbliżają, a w roku następnym pewnie ją zdobędą. Wobec tego faktu przewodnicy stronnictwa liberalnego z utęsknieniem zaczęli się rozglądać za dawnymi przeciwnikami, demokratami, którzyby ich wsparli w walce przeciw antisemitom i narodowcom pangermańskim. Lżony i wyśmiewany niegdyś Kronawetter został bohaterem; stronnictwo liberalne popiera go całym swym wpływem. Oddaje mu głosy do rady gminnej, protoguje kandydatów, których on wysunął, zgromadzenia, które on urządza dla wskrzeszenia stronnictwa demokratycznego, co więcej, o ile słychać, powierza mu znaczne kapitały dla założenia dziennika, któremu, jako czysto demokratycznemu, pozwoli zwalczać liberałów za cenę uderzania na antisemitów. Tak więc antisemityzm wiedeński w najbliższej przyszłości będzie pono miał doniosłość swej siły „die stets das Böse will und stets das Gute schafft" (ciągle złego pragnie, a ciągle dobre tworzy), gdyż wytworzy silne stronnictwo demokratyczne, które położy tamę reakcyi, grożącej stosunkom społecznym i wychowaniu, a zarazem walczyć będzie z upodleniem liberałów.

Na razie jednak zwycięztwo antisemitów u urny wyborczej ośmieliło reakcyę do jawnego i stanowczego wystąpienia w parlamencie. Ks. Lichtenstein, który przed czternastu miesiącami wystąpił z wnioskiem szkoły wyznaniowej, dziś dopiero zdobył się na odwagę bliższego określenia żądań swej partyi na polu wychowania publicznego. Szkoła wyznaniowa ma posiadać cechy następujące: 1) ścisłe rozdzielenie uczniów według wyznań, oddanie ich nauczycielom współwiercom i gruntownie wykształconym w sprawach religii; 2) nauka religii, wedle określenia władzy kościelnej, wykładana przez duchownych, zasilana jednak i przez resztę nauczycieli; 3) z przedmiotów wykładanych, z zachowania nauczycieli i dążeń całego wychowania usuwa się wszystko, co nadwerężać może siłę wiary uczniów; w tym celu przyznaje się władzom kościelnym prawo nadzoru nad urzędnikami państwowymi. Sądzimy, że dość przeczytać z uwagą powyższe żądania ks. Lichtensteina, aby bez wyczerpujących komentarzy, zawartych w mowie jego, zrozumieć całą doniosłość zwrotu, do jakiego prą ultramontanie i konserwatyści. Pragną oni zniweczyć zdobycze nauk przyrodzonych i filologii, wykorzenić oświatę, która w ostatnich lat dziesiątkach coraz szersze obejmowała masy, ogarnąć lud mrokami średnich wieków.

Niezbyt też wesołymi były żarty, którymi ks. Lichtenstein okrasił swą przemowę w chwili, kiedy widmo szkoły wyznaniowej zbliża się do progu rzeczywistości. Z gorączkowem zajęciem oczekiwano występu ministra Gautscha. Zastrzegłszy się przeciw twierdzeniu prasy, jakoby był narzędziem ks. Lichtensteina, w mowie jałowej, a jednak fatalną posiadającej doniosłość, zaznaczył, iż rząd z czasem pomyśli o przeprowadzeniu reform żądanych przez stronnictwo, mające większość w parlamencie. Długo ks. Lichtenstein zwlekał z bliższem wyjaśnieniem swego wniosku, wiedząc, że większość prawicy, połączona z klerykałami pod hasłem autonomii i decentralizacyi, potępia wsteczną jego tendencyę. Obawa nie była płonną, albowiem jawne wystąpienie reakcyonistów zerwało węzły łączności parlamentarnej, a myśl postępowa, ożywiająca znaczny zastęp członków prawicy, stanęła do walki z wnioskiem. Rozpoczął Gregr, przewódca młodoczechów, a jeśli słusznie zauważył, że broni honoru narodu czeskiego wobec historyi, występując przeciw sojusznikowi parlamentarnemu w chwili, kiedy ten targa się na najdroższe skarby człowieczeństwa— to prawdziwie żałować wypada, że między posłami polskimi znalazł się jeden tylko człowiek o tyle „dziki," że śmiał poprzeć kolegę czeskiego*). Przemowa Gregra odsłoniła najgłębsze zamysły klerykałów, zręcznie przez Lichtensteina ukrywane; nie o wzmocnienie wiary ludu tu chodzi, ale o wskrzeszenie władzy kościoła nad państwem. Wielkie wrażenie wywołało w parlamencie przypomnienie, iż imię Lichtensteinów strasznem zawsze było dla ludu czeskiego. Karol, praszczur wnioskodawcy dzisiejszego, główną tam odgrywał rolę podczas wojny trzydziestoletniej; z jego to głównie winy z trzech milionów czechów, żyjących przed tą wojną, po ukończeniu jej zostało zaledwie osiem kroć. Teraz zaś, kiedy z owych nędznych ośmiu kroć prawdziwym cudem rozwinął się naród silny i rozkwitający cywilizacyjnie, znowu zjawia się Lichtenstein jako duch-niszczyciel, który chce mu wykopać nowy grób, grób ciemnoty i upadku kulturalnego.

Mowę Gregra z uniesieniem przywitało stronnictwo liberalne. Zbliżyła ona żywioły uczciwsze prawicy a lewicy i zdaje się, że po za sojuszem stronnictw autonomicznych tworzy się obecnie sojusz grup prawdziwie postępowych, cichy, lecz świadomy celów swych i taktyki. W ten sposób i Lichtenstein, jak poprzednio Schönerer i Vergani, działał jako owa siła „die stets das Böse will und stets das Gute schafft," gdyż skojarzone żywioły postępowe obu odłamów nietylko na arenie parlamentarnej jawnie zwalczać będą wnioski reakcyjne, ale i za kulisami, w klubach, gdzie właściwie rozstrzygają się losy państwa, pozbawić zdołają projektowaną machinę wychowania publicznego zębów najszkodliwszych. Ale zdaje się, że w tej lub w innej formie rząd pod naciskiem prawicy zmuszony będzie przeprowadzić żądania klerykałów. Lichtenstein wysunął jako lep dążność autonomiczną swego wniosku; urządzenie bowiem szkół wyznaniowych ma być powierzone sejmom prowincyonalnym. Samorząd, zastrzeżony krajom pojedynczym w tym względzie, jest jedynym argumentem, jakim członkowie prawicy wobec wyborców swych nieklerykalnych zasłonić się mogą,

*) O jego wywodach pomówimy później.

---

uścisnęłabym cię ot tak — ot tak..., a później — poszła razem z tobą.

— Więc przyrzekam ci, iż będziesz widziała wszystko, cokolwiek uczynię.

Wiatr jesienny długo jeszcze zgarniał skrzydłami echa ich szeptów, płaczu, pocałunków, zaklęć i obietnic.

A Jan, stojąc na szczycie wzgórza, zapatrzył się w mglistą dal, która pochłonęła mu syna. Myśli jego biegły śladem tego, który odszedł, i spłynęły wreszcie w cichy, modlitewny śpiew.

„O wiosno ducha! Czy nie piękne są zorze, z których powiewy twe ranne zdzierają purpurę, by nią przysłonić w oczach młodości brudny łachman życia? Czy nie świetne te słońca, którym kradną promienie, by w złudnem ich świetle ukazać widmo jego nęcącem i pięknem? Czy nie czarodziejskie te chóry, których echa wesołe twój oddech w pierś młodą wlewa? A przecież, o piękna! twe czary nie powstrzymają młodości, by niecierpliwą ręką nie rwała ze śmiechem tkaniny złudzeń, kryjącej świat, byt ludzki i byt rzeczy; pieszczota tkliwa nie utuli niepokoju myśli szarpiącej się do prawdy, ani nie uśpi serc łaknących cierpkości bólu— i szept twój umilknie, lub złączy się z przywołującym głosem wiedzy! O niebieska! patrz w tę świątłość, którą rozpaliły jasne duchy ludzkie i zgaś twe barwne zorze i ułudne słońca, niech skrzydła twe jedno tylko jej promienie zgarniają i jej ciepłem się rozpalają, a gdy w tchnieniu jego stopnieją mgły i z nich świat się przed okiem młodości wynurzy, powróć do nieba i przynieś ognia zachwytów i upojeń, który tylko w młodem sercu się rozpala: tu na ziemi czekać cię będą młodzi, klęczący w podziwie i zadumie!

„A gdy wstaną drżący, wzruszeni, z płomieniem w oku i burzą w piersiach, o dobra! nie gaś tej dumy, z którą stopa ich deptać będzie przesądy i nie studź odwagi, z jaką dłonie ich pochwycą świeczniki promienne i ciemnościom grozić będą, lecz gorącem tchnieniem poezyi wiosennej podsycaj ogień miłości, którym ich serca ogarną świat, ludzi, kraj swój, i nad niemi — tam gdzie jest tylko mrok chłodny — rozpal, o miłosierna! płomyczek nadziei!"

Taką modlitwą Jan żegnał syna.

* * *

W mgliste swe i nieuchwytne ramiona życie przyjęło Alojzego z taką obojętnością, z jaką ocean otwiera swe łono olbrzymie dla wód małego strumienia. Potężna, lecz bezmyślna fala uniosła go, tyle się troszcząc o los jego, co o los każdej z kropli, wyssanych słońcem w obłoki lub spadłych z obłoków, a on na jej grzbiecie popłynął ufny i bezpieczny, rozmarzony, w szmery jej wsłuchany i w mgliste nad sobą obrazy wpatrzony. I zdało mu się, iż w głębinie wód życia jest ktoś, co nań czeka, ktoś, co pragnie go i tęskni doń, iż czyjeś głosy go przywołują, a dokoła uśmiechają mu się twarze przyjazne i opłatają go braterskie ramiona.

W duszy Alojzego drgała jedna struna dziwna. Kto ją tam nawiązał? Może uplotła się z tych łez, któremi Marta wypłakiwała mu u Boga — dolę jasną! Może wysnuła się z tych dum, które marzył Jan nad kolebką jego schylony! Wydzwaniała mu ona piosnki tak rzewne i tak żałosne, iż w słuchaniu ich oczy łzawą mgłą mu zachodziły i cień tęsknego smutku kładł mu się na twarzy, ścierając z niej uśmiech. Dziwna struna! Gdy na niebie czystem, jak dusza jego, witało go słońce, jak młodość—jasne, gdy kwiaty przywoływały go wonią słodką i barwami oczy wypieszczały, gdy trawy kobiercem miękkim pod nogi mu się kładły a drzewa chłodnym cieniem go nakrywały, gdy w spokojnym majestacie odsłaniając wspaniałe łono — śmiała się doń

głosując za wnioskiem Lichtensteina. Wobec energii i stanowczości, z jaką według zapowiedzi stronnictwo jego domagać się będzie szkoły wyznaniowej, polacy i czesi niezawodnie kiedyś uznają konieczność głosowania za wnioskiem Lichtensteina, choć zmienionym. Koło polskie trzymać się będzie pod tym względem polityki Grocholskiego, który pozwalał rządzić się krajom korony austryackiej wedle ich upodobania, byleby Galicya rządzoną była tak, jak jej przedstawiciele wymagają. Otóż tem łatwiej będzie zgodzić się posłom galicyjskim na wprowadzenie szkoły wyznaniowej w górnej Austryi i Tyrolu, a czechom pozostawić walkę z wstecznictwem w łonie ich sejmu, który bezpośrednio zajmie się sprawą szkoły wyznaniowej — ile że Galicya znajduje się w położeniu wyjątkowem, gdyż szkolnictwo jej dzięki szerokiemu zakresowi działania rady szkolnej dziś już o wiele bardziej podlega władzom krajowym, aniżeli w innych ziemiach korony austryackiej. Zresztą i sam wnioskodawca o tyle był łaskaw, że w przemowie swej zaznaczył wyraźnie, iż dla Galicyi stronnictwo jego szkoły wyznaniowej domagać się nie będzie, raz dlatego, iż nauczycielstwo galicyjskie, jako szczerze chrześciańskie, usuwa w znacznej mierze złe skutki obecnej ustawy szkolnej, powtóre zaś dlatego, że istotnie warto spróbować, czyby liczna żydowska ludność galicyjska nie dała się wyrwać z kulturalnego odosobnienia przez uczęszczanie do szkół chrześciańskich, aczkolwiek o skuteczności próby tej powątpiewać można.

Tak więc Galicya pozostanie niezawodnie wierną hasłom „polityki realnej,“ którą zastąpiono polityką zapału i poświęcenia się dla innych. Atoli gdyby nawet jej interesy cywilizacyjne istotnie miały być zagrożone przez wniosek Lichtensteina, wątpimy bardzo, czy zdobyłaby się na opór tak silny i wytrwały, jaki rozwinęli węgrzy wobec projektowanej ustawy wojskowej. Od kilku miesięcy już machina parlamentarna nie działa tam prawidłowo; ulica zdobywa sobie wpływ coraz większy, wdziera się do domu obrad i rozwija łańcuch scen, o jakich słyszeć przywykliśmy tylko w czasach przewrotów. Opozycya, która całą nienawiść i siłę zaczepną skupiła na osobie prezydenta Tiszy, użyła i dnia 15 marca, kiedy obchodzono uroczyście pamięć ruchu marcowego 1848 r., by napiętnować Tiszę jako reakcyonistę. Na obchodzie tym spalono niezliczoną ilość fajerwerków, wszystkie zaś okazywały jaśniejącą cyfrę Ludwika Kossuta, gasnącą — Tiszy. Punktem rzeczywistym obchodu było odczytanie dwunastu życzeń narodu węgierskiego, pomiędzy któremi znajduje się samoistna armia, zaprzysiężenie jej na konstytucyę, królewski dwór węgierski w stolicy i odwołanie Kossuta z wygnania. Atoli opozycya nie poprzestała na demonstracyach ulicznych. W parlamencie węgierskim podczas obrad nad ustawą wojskową, wystąpił poseł Eötvös z interpelacyą, która Tiszę naznaczyć miała piętnem przedajności. Zarzucił on prezesowi ministrów, że zawierając kontrakt o sprzedaż jednej ze swych majętności, zastrzegł sobie nadwyżkę 23,000 złr. na wypadek, gdyby udało się za wpływem jego przeprowadzić tam kolej biharską, co też istotnie nastąpiło. Tisza ze spokojem, odbijającym od nerwowego rozdrażnienia Izby, zbił twierdzenie cyframi i danemi szczegółowemi; nadto w obronie jego stanął hr. Karolyi, który, chociaż członek opozycyi, uważał taką napaść za niegodną. I już hańba, która czekała Tiszę, zmienić się miała na owacyę, kiedy tryumf przyjaciół jego spowodował rozdmuchanie walki i przechylenie się wagi w inną stronę. Po zamknięciu posiedzenia poseł Iranka zadrwił sobie ze studentów schodzących z galeryi, głośno rozmawiających pod wpływem porażki, jakiej doznał przyjaciel ich Eötvös. Jeden z nich przezwał sędziego Irankę mamelukiem, poczem towarzyszący mu poseł Rohonczy wymierzył studentowi policzek. Młody ów człowiek oddał policzek Rohonczy'emu, poseł Iranka zaś w obronie tegoż wyciągnął rewolwer i zranił studenta w udo. Rannego nadto obaj hrabiowie obili. Dopiero dobrowolna drużyna ratunkowa rozdzieliła walczących. Na wieść o wypadku około tysiąca studentów zebrało się przed parlamentem, a wyjeżdżającego Tiszę powitano okrzykami: „Rozbójnicy! mordercy!“ Otworzono gwałtem drzwiczki powozu, a porwany przez spłoszone konie powóz, ciągnął za sobą po bruku studentów, którzy kurczowo trzymali się klamki. Powstał rozruch ogromny w całem mieście; pozamykano wszystkie sklepy, wyruszyła policya, a wojsko gotowe było w koszarach. Mimo to nie wstrzymano demonstracyj studentów, którzy udali się przed klub stronnictwa liberalnego i przed mieszkanie Rohonczy'ego, by wyrazić oburzenie, a nazajutrz na karetę Tiszy rzucili deszcz kamieni. Do takich wybryków wiedzie swobodna walka stronnictw, zabarwiona temperamentem madziarskim.

Stwosz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najhałaśliwiej a więc i najmocniej w tygodniu minionym wyróżniały się śród wypadków bieżących awantury węgierskie. Uliczny chór opozycyi okazał rzeczywiście niezwykłą wytrwałość w krzykach przeciwko Tiszy i obojętność na płazowania lub kijowania ze strony policyi. Rozpędzony i obity, za kilka godzin zbierał się znowu i powtarzał swoje z większą jeszcze zaciekłością. Nareszcie wszedł pod głosowanie artykuł ustawy wojskowej (zamieniający służbę jednoroczną na dwuletnią), sprawca tych zamieszek. Większość sejmowa przyjęła go i przyjąć musiała, ażeby okazać swą niepodległość wobec żywiołu, który ją terroryzował. Tisza nie ustąpił. Gazety, które mu tę konieczność przepowiadały, nie policzyły się ani z jego charakterem, ani ze stanowiskiem. Jaki to wódz, zwłaszcza wódz ambitny, składa broń dobrowolnie, zanim został pokonany! Nie pozwala mu na to ani siła, ani miłość własna. Dopóki jedna strona posiada wymysły w ustach a kamienie w rękach, druga zaś— wojsko i policyę, nie może być mowy o zwycięztwie pierwszej i poddaniu się drugiej. W otwartej przeto walce Tisza musiał pozostać panem pola. Ale zarówno dla niego, jak i dla opozycyi zmieni się położenie, gdy wybuch namiętności ustanie i przejdzie w starcie spokojne. Wtedy prezes ministrów węgierskich, który dotąd karmił się uwielbieniami, pod wpływem przykrych wspomnień i ciągłych podrażnień może zniechęcić się do swej władzy i ustąpić sam dobrowolnie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że między nim a narodem naderwał się głęboko dotychczasowy węzeł i że on się już nie splecie. Tisza jest za stary, ażeby powszechnie chwalonymi i doniosłymi czynami tego dokonać, naród zaś za zbyt przeciw niemu podniecony, ażeby starł sobie z pamięci pretensye i żale.

Energicznie a ostrożnie rząd francuski podcina korzenie ligi patryotycznej i zamierza ją wykarczować z gruntu Rzeczypospolitej. Dotąd nie wytoczono jeszcze procesu nawet tym, których wzięto na cel, a Boulanger większych prześladowań doznaje od swej zagadkowej choroby, niż od rządu; zdaje się wszakże, że go chcą wymieść z Francyi.

W Niemczech przygotowywa się fakt wielkiej wagi. Zawieszenie wydawnictwa *Volkszeitung* na podstawie prawa o socya-

---

askawie przyroda i głosy jej, bez troski dźwięczące zlewały się w słuchu jego w chóry wesela — wtedy arfę jego duszy trącały czyjeś tchnienia i jedna struna tęskliwa odzywała się cicho, cicho, żałośnie. Bez skargi na radość omroczoną Alojzy słuchał co duch mu własny śpiewa i zdawało mu się, że to w piersi jego kona dalekie echo czyjegoś ogromnego bólu i bezmiernej niedoli.

Z myślą wiszącą u pytania: kto cierpi? kto go woła? — wsłuchiwał się w odgłosy płaczu i śmiechu, tętniące w fali życia, i wypatrywał rafy te, o które z płaczem rozbijają się piersi ludzkie, i szukał okiem tych zatok cienych i słonecznych, ku którym tłoczą się zwabione ich weselem istnienia ludzkie. Powoli, z oceanu pragnień, nadziei, namiętności, usiłowań, cnót i występków, w którym jako jedna kropla kąpała się myśl jego, począł wynurzać się przed nim obraz człowieka, skupiający w sobie rozpierzchłe w tych żywych kroplach pyłki barw, i wpatrując się weń w niemym zachwycie, dojrzał wszystkie rysy wiekowej niedoli, mroczące wspaniale piękno tego obrazu.

Wtedy powrócił znów do słuchania tego, co w nutach żałosnych śpiewała mu arfa, którą nosił w piersiach. Jej piosnki były tak smutne, że nie mogąc ich dłużej tłumić w swej duszy, szukał kogoś, ktoby je chciał wysłuchać.

Myśl jego skierowała się do starca poety, którego pieśni, opłakujące niedolę ludzi, wzruszały go głęboko. Zdało mu się, iż dusza tego człowieka musi być bardzo zbolałą i że łatwo zrozumie on smutek innego.

Nieśmiały i wzruszony stanął przed nim dnia pewnego.

Starzec przyjął go z życzliwą powagą i sam z drżącej ręki jego wyjął zwitki papieru, podobne do tych, jakie dostrzegał w dłoniach wielu odwiedzających go. Rozwinął i odczytał jeden z nich, i rzuciwszy następnie okiem na blade, drgające od niepokoju i wzruszenia oblicze chłopca, mówił mu dobrotliwie:

— Daruj starcowi jego ciekawość, mój synu. Czy życie nie obarczyło cię dotychczas żadnymi obowiązkami?

— Nie popełniłem występku, za który zasłużyłbym na wytrącenie mnie z szeregów moich braci, niosących ich brzemię — odparł Alojzy.

— Więc nie jesteś nieszczęśliwym! Może masz rodziców, których starość pielęgnujesz, ujmując ich barkom osłabłym ciężarów życia. Czy wiesz, jak słodko jest tę ścieżynę, którą, pocąc się krwawo, wykuły ręce ojcowskie, rozszerzać w szeroki gościniec, dążący tam, dokąd tysiące innych dąży, tam, gdzie w wielkie zbiornisko zlewa się sława, bogactwo, potęga narodu? Może masz kochankę, z którą spleciesz swe dłonie dla wspólnej pracy! Jak lekką staje się ona, gdy w uszach zadźwięczą srebrzyste chóry dziecięce, z jaką dumą wyprowadza się później swych synów na drogę, własnemi rękami utorowaną! A jeśli jesteś samotny, jeśli podmuch złego losu zgasił ci ognie rodzinne, to przyłączyć się możesz do jednej z tych gromad ludzkich, które zwolna, z mozołem niewysłowionym podążają ku dalekim celom, jakie wytknęło ludzkości pragnienie uszlachetniania się: ciepło braterskich piersi byłoby dla ciebie równie ożywczem, jak uścisk matki lub kochanki. Jeśli to, co ci mówię, nie jest nowem dla ciebie, to powiedz mi, czemu tak smutną jest piosnka, którą mnie obdarzyłeś?

— Mój mistrzu, w obrazie, jaki skreśliłeś, odbija się spokojna szczęśliwość. Mógłbym łatwo pozyskać ją dla siebie, lecz widziałem tłumy ludzi, wydały mi się nieprzeliczone, dla których jest ona straszliwie daleką. Tłumy te nie dążą nigdzie, spowiło ich tyle ciemności, jakby niczyj mózg

listach ze wszech stron spotkało się z naganą. Richter i słynny adwokat Munkel dowiedli w sejmie, że czyn ten jest gwałtem bezprawnym, gdyż gazeta nie jest organem socyalistycznym i oba jej artykuły nie zawierają ani słowa, któreby jej nawet pozornie taki charakter nadawało; jeden bowiem, złorzeczący pamięci Wilhelma I, może być tylko przedmiotem skargi sądowej w imieniu żony i córki zmarłego, drugi o wypadkach marcowych w r. 1848 zawiera dawno powtarzane ogólniki i pochwały dla zdarzeń, z których ostatecznie wyszła konstytucya niemiecka. Otóż rząd, chcąc zyskać broń przeciwko prasie wolnomyślnej, zamierza ustawie przeciw socyalistom odjąć znamię przepisów wyjątkowych, wprowadzić ją do kodeksu i rozszerzyć na wszystkie dążenia „przeciwne państwu, religii i własności.“ Obuchem tym — jeśli mu sejm udzieli swej zgody — zabitoby całą prasę postępową, która dziś, bardziej niż socyalistyczna, drażni ks. Bismarka. Niezmiernie ciekawym będzie przebieg obrad, a doniosłym ich wynik.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z FRANCYI.

Paryż, 15 marca.

Manifestacya robotnicza i ustawodawstwo francuskie. — Ostatni okólnik Floqueta. — Syndykaty zawodowe i ich działalność.— Rewolucyoniści i possybiliści. — Wieś i miasto we Francyi. — Gminy i *referendum.*

Manifestacya robotnicza, zapowiedziana na jubileuszowy dzień rewolucyi 1848 r., na dzień 24 lutego — nie udała się. Obecny gabinet oportunistyczny, który rozpoczął rządy nader energiczne, przedsięwziął środki odpowiednie: postawił na nogi policyę, wojsko, zakazał wszelkich tłumnych zebrań czy zbiegowisk ulicznych (które zresztą wogóle we Francyi są wzbronione).

Okoliczność ta jednak dała sposobność ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych („Umarli prędko jadą“) Floquetowi do wydania okólnika (ostatni akt upadłego gabinetu), w którym, prócz zwykłych zaleceń co do przestrzegania prawa i porządku, wylicza przed prefektami to wszystko, co trzecia Rzeczpospolita zrobiła dotąd na polu ustawodawstwa robotniczego.

Lista nie jest długą, przytoczymy ją więc w całości. Najważniejszem jest prawo o syndykatach zawodowych z dnia 24 marca 1884 r., które posłużyło za podstawę do organizowania się dzisiejszych stowarzyszeń według rzemiosł i gałęzi przemysłu. Korporacye odegrają niewątpliwie ważną rolę w przyszłym ustroju społeczno-ekonomicznym i dziś już dążą do rozszerzenia zakresu swej działalności. Tymczasem jednak syndykaty, połączone w federacye, służą za osnowę partyj robotniczych, domagających się zmian politycznych i społecznych. Jest ich dziś już 2,400. Ciekawe przytem, że z prawa tego skorzystała i drobna własność rolna, utworzywszy sieć syndykatów zrzeszonych, dobiegających liczby 700. Działają one w duchu podobnym, jak polskie kółka rolnicze w Galicyi i Poznańskiem.

Na drugiem miejscu w spisie p. Floqueta postawić należy dekret z dnia 6 czerwca 1888 r., ułatwiający owym stowarzyszeniom udział w robotach rządowych, które polecono dzielić na mniejsze cząstki, głównie przez zwolnienie ich od kaucyi, gdy cena robót nie przenosi 50,000 fr. Rząd też zastanawia się nad tem, jakby przepisy powyższe rozciągnąć do robót okręgowych i gminnych. Dodam jeszcze, że objęcie robót rządowych, przy ciągłem rozszerzaniu ich zakresu, przez korporacye robotnicze jest jednym z główniejszych punktów ekonomicznego programu syndykatów, zrzeszonych w partye. Jak widzieliśmy z poprzedniego listu robotnicy stawią przytem żądania co do długości dnia pracy, minimum płacy zarobkowej i domagają się międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego, dla ujednostajnienia warunków pracy.

Prócz tego istnieje gdzieś w komisyi Izby francuskiej projekt do prawa o stowarzyszeniach produkcyjnych (utworzona dla ich zbadania komisya rządowa ogłosiła świeżo trzy tomy zebranych w tym przedmiocie materyałów). Projekt ten znosi wiele formalności, wymaganych dotąd przy zawiązywaniu tych stowarzyszeń i zwalnia je od prawa stempla. Projekt zatwierdza również zawierane coraz częściej we Francyi*) umowy między przedsiębiorcami i robotnikami (lub urzędnikami), co do udziału w zyskach z przedsiębiorstw.

Do dziedziny projektów należy jeszcze prawo o pracy kobiet i dzieci, świeżo uchwalone w Izbie i odesłane do senatu, równie jak prawo o wypadkach fabrycznych, znajdujące się już na porządku obrad senatorów. Istnieje też projekt do prawa o poddaniu pod opiekę dobroczynności publicznej dzieci opuszczonych a także o organizacyi pomocy lekarskiej dla biednych w całej Francyi. Do tej kategoryi zaliczyć również można, nie wyliczone przez Floqueta, wnioski przedstawione Izbie przez posła Lefèvre'a, domagające się udzielenia kobietom praw przy wyborze sędziów do trybunałów handlowych oraz przyznania „słabszej“ czy „pięknej“ połowie rodzaju ludzkiego praw cywilnych, nie uznawanych dziś przez kodeks Napoleona.

Wracając do chybionej manifestacyi robotniczej, zaznaczyć wypada, że urządzał ją tylko bardziej rewolucyjny odłam partyi robotniczej francuskiej, noszący nazwę Federacyi izb syndykalnych. Grupa liczniejsza, mianująca się Unią federalną, przeciwną była manifestacyi, jako skierowanej przeciw władzom wykonawczym, gdyż ona stara się o wpływy w ciałach ustawodawczych, a nadto umiarkowani przedstawiciele partyi obawiali się, że rozruchy przybrać mogą charakter bulanżystowski. Jeżeli zaś centralny komitet rewolucyjny (blankiści i marxiści) skłania się w pewnych warunkach nawet ku bulanżyzmowi, to possybiliści wolą trzymać się pewniejszego na dziś sojuszu z oportunistami i radykałami.

Possybiliści starają się dziś głównie o pozyskanie większości w radach miejskich i zagospodarowanie gmin w duchu programu kollektywistycznego, organizując w nich służby publiczne. Stosuje się to zarówno do gmin wiejskich i miejskich, a zauważyć należy, że we Francyi rozróżnianie to nie istnieje, jest bowiem jedna tylko jednostka administracyjna, gmina (*commune*). Dodam jeszcze, że we Francyi niema właściwie *wsi* i *miast*, są zaś tylko wsie duże i małe, lub miasta i miasteczka. Francuskie miasto (*ville*) różni się od wsi (*village*) tylko obszarem, zresztą typ to jeden i ten sam— te same zabudowania z kamienia, ten sam prawie ich charakter, ta sama ludność, te same obyczaje, zwyczaje, strój nawet. Paryż z wielu względów jest tylko olbrzymią wsią francuską. Nie rozwijam zresztą dalej tego spostrzeżenia, spieszę zaś zaznaczyć, że w paryskiej radzie miejskiej possybiliści wraz z autonomistami mają większość, a świeżo wiceprezydentem rady wybrany został najwybitniejszy przedstawiciel possybilistycznej partyi robotniczej — Joffrin.

Gminy francuskie wzięły także teraz inicyatywę w t. z. *referendum.* Już w konsty-

*) Można o tem poczerpnąć wiadomość w *Revue des institutions de prevoyance*, wychodzącej co trzy miesiące.

---

nie zapalił nigdy płomyka wiedzy, i tyle nieszczęścia, jakby niczyje serce nie chciało nigdy uskąpić sobie radości dla obdzielenia nią innych. Widziałem jeszcze, iż gościńce życia roją się ludźmi, którzy bezładnie dążą w różne strony i zdają się uciekać przed jakąś straszną, druzgoczącą siłą; ze śmiechem szyderstwa lub z tkliwością obłąkaną niosą oni szczątki pogruchotanych nadziei, złamanych uczuć, rozbitych wierzeń i głosem jedynego tylko pragnienia przywołują — każdy dla siebie — posępną łódź śmierci!

Te głosy płoszą mi sen. Ciskają mi jakiś wyrzut, który mnie niepokoi, lub tęsknie żądają czegoś ode mnie. Powiedz mi, mistrzu, czy z ludzkich piersi może się wydrzeć pieśń tak piękna, by pieszczotą dźwięków goić mogła rany i siłą brzmienia rozbudzić wszystkich, którzy w słodkim śnie szczęścia nie słyszą tych ech smutnych i skargliwych?

Starzec ujął go za rękę i w czarnej głębi ócz jego zatopił długie wejrzenie, pełne obaw, żalu i tkliwości. I rzekł z cicha:

— Duch miłości zdziałałby mógł to, czego pragniesz; lecz jakże trudno jest śmiertelnym ustom wysłowić szept jego! Nie mówię ci: próbuj! gdyż każdy, czyjego ucha dotknęły niewidzialne usta jego, musi powtórzyć to, co słyszał, lub umrzeć. Lecz pragnąłbym, by pieśń twoja była doskonalszą od innych, by się przelała w krople rosy i spadła na uznojone czoło ludzkości. Zazdrościłbym ci wtedy.

Umilkli obaj. Starzec zapadł w głęboką zadumę. Zdawało mu się, iż przed okiem jego, uchylającem zasłonę wiekowej przeszłości, ludzkość wyłania się w mozolnych, mrówczych ruchach z odmętów zwierzęcego życia. Jak niepojęcie daleko, jak niepewnie i blado połyskują przed nią światła, a przecież ku nim to właśnie kieruje się ona, stąpając niepewnie, jak dziecię, ręką nieśmiałą rozgarniając przed sobą ciemności. Jaka przestrzeń do przebycia! Czy dojdzie? Czy nie pochłonie jej jaki bezmyślny i straszliwy kataklizm? Posuwa się tak wolno, jak wolno odbywają się wszelkie przeobrażenia we wszechświecie. Prawo to ciężkimi więzami ugniata tych najlepszych jej synów, którzy, śląc swą myśl lotną daleko po drodze, jaką przebyć należy, radziby jednem dźwignięciem pociągnąć za sobą całą bratnią rzeszę. I zdało mu się, iż widzi, jak w cichym grobie przeszłości układają się te ręce niecierpliwe, jak przestrzeń rozwiewa pieśni tęskne, które przez chwilę unosiły się nad sunącą zwolna ludzkością, budząc ją i nakłaniając do biegu.

Wzrok jego przesunął się raz jeszcze po twarzy chłopca, i znów obłok smutku zaćmił oblicze starca.

— Duch miłości żyje wciąż — myślał — i w naszym lichym, ograbionym z uczuć wieku wcielą się jeszcze w nikczemną, człowieczą formę, paląc ją, jak słomę, podmuchem gorącym. Jak srogie są cierpienia tych żywych stosów, a jak niedaleko sięga ich światło i ciepło!

Alojzy innem okiem, okiem przeczucia spozierał w tej chwili w przyszłość. W powodzi świateł, zalewającej jakąś przestrzeń rozległą, wzrok jego dostrzegał snujące się obrazy szczęścia. Oślepiający blask i świetność barw nie pozwalały mu zatrzymać ich w oku, lecz czuł, iż nadejdzie chwila, gdy tak się doń zbliżą, iż będzie je mógł nazwać swoimi i wyśpiewać. Naprężony słuch jego łowił jakieś oderwane słowa, a gdy próbował zestroić je razem, przebiegał po nim dreszcz wpół-bolesny, pół-rozkoszny, dreszcz oczekiwania i nadziei.

(D. n.).

F. G. Brodowski.

tucyi 1793 r. był ustęp niewprowadzony w wykonanie, gdzie powiedziano, że „prawa poddawane są głosowaniu w zgromadzeniach pierwszego stopnia przez orzeczenie *tak* lub *nie*.“ Wiadomo, że „referendum,“ które najbardziej przyjęło się w Szwajcaryi, stosowane jest w tych wypadkach, gdy uchwalone już w instytucyi ustawodawczej oddaje się pod głosowanie wyborców, dla pozyskania dlań sankcyi wszystkich obywateli. We Francyi zaczęto wprowadzać referendum bezpośrednie, tj. oddawać pod rozstrzygnięcie obywateli danej gminy kwestyi pewnej, która nie podlegała jeszcze uchwale rady. Taki sposób postępowania praktykowały już ostatnimi czasy w sprawach miejscowych gminy w Cluny (Saône et Loire), Bagnols-sur-Cèze (Gard), Riom, Bergerue... świeżo zaś do paryskiej rady miejskiej wniesiony został projekt oddania pod rozstrzygnięcie samych wyborców, w jaki sposób ma być przeprowadzona budowa nowej kolei miejskiej w Paryżu, t. z. „Metropolitain,“ zadecydowana już w zasadzie. Chodzi o to, czy koloj tę wybudować ma i objąć w administracyę samo miasto, czy też oddać ją przedsiębiorstwu prywatnemu. Przeważa dziś opinia wykonania tego projektu przez radę miejską, która także stara się obecnie o objęcie w posiadanie sieci tramwajów i omnibusów miejskich, będącej monopolem jednej wielkiej kompanii, która robi grube interesy bez szczególnego uwzględniania interesu mieszkańców, lubo i dziś monopol ten obstawiony jest różnymi warunkami i zastrzeżeniami ze względu na potrzeby publiczne.

Parisis.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Mieszkania dla robotników.

Od czasu do czasu ktoś z odczuwających nędzę ludzką, siedząc w obszernym i oświetlonym gabinecie, napisze kilka słów o tem, iż warto byłoby pomyśleć o wygodniejszem mieszkaniu dla robotników. Lecz wnet zajdą na szerszym widnokręgu ważne wypadki, jak pogorszenie się newralgii Bismarka lub katar ojca świętego i drobna miejscowa wiadomostka ściera się zupełnie z uwagi ogółu. Pisma prowincyonalne zaczynają zawstydzać prasę warszawską; tak np. *Dziennik łódzki*, zamiast obfitej ścieżki politycznej, daje wstępny artykuł o mieszkaniach dla ubogich. Bardzo słusznie; sprawa ta przecież powinna być pierwszorzędną dla miasta przemysłowego, którego istnienie w dobrobycie oparte jest na wysiłku nędznie odżywianych mięśni. Po za pewną liczbą robotników, zamieszkujących nieliczne domy familijne — mówi organ miejscowy — i znajdujących się w nieco przyjaźniejszem pod tym względem położeniu, dziesiątki tysięcy ubogich ludzi gnieździ się po poddaszach, piwnicach, norach, w najgorszych warunkach zdrowotnych, w ciągłej niepewności, czy tego żądnego dachu nie odbiorą im. Komornel ileż ten wyraz mieści w sobie dla biedaka trosk, niepokoju; ile trudów, żelaznej oszczędności i wysiłków zużyć on musi, aby mu odjąć jego fatalne znaczenie. Kto zna choć pobieżnie— mówi dalej pismo — warunki bytu, niezaradność, nieopatrzność proletaryatu naszego, ten pojmie całą doniosłość sprawy mieszkań dla ubogich. A przecież komorne stanowi tylko jedną finansową jej stronę; pozostają jeszcze inne, jak sanitarna, moralna itd.

Bierzmy przykład z zagranicy. Niedawno w Strasburgu (w Alzacyi) Stowarzyszenie mieszkań dla klasy pracującej obchodziło 25-letni jubileusz. Dawniej jeszcze powstały wzorowe dzielnice robotnicze w Mülhuzie. Otóż w części na ich podobieństwo kilku ludzi przed ćwiercią wieku postanowiło cząstkę odsetek od swych kapitałów użyć na zapewnienie robotnikom mieszkań zdrowych i środków na regularne opłacanie komornego. Tym sposobem zawiązało się stowarzyszenie z członków honorowych i rzeczywistych. Pierwsi zarządzają, drudzy dostarczają funduszów. Zadaniem pierwszych jest: nadzór nad mieszkaniami, wstawianie się za robotnikiem do właściciela domu, żądanie napraw i ulepszeń niezbędnych, okazywanie lokatorom czynnej pomocy we wszelkich wypadkach, w których mogą im oddać przez swe wpływy jakie usługi. Roczna składka tych członków wynosi najmniej 5 marek. Dla członków rzeczywistych instytucya powyższa jest poniekąd kasą oszczędności, gdzie składają oni każdej niedzieli pewną część tygodniowego zarobku. Z drobnych sumek przy końcu każdego kwartału tworzy się płaca za lokal, którą muszą wnosić właścicielowi domu pod groźbą wyrzucenia ich na bruk. W specyalnych książeczkach oznaczona jest wysokość każdorazowych wkładów, w stosunku do ogólnej sumy komornego. Książeczki te, w razie zmiany mieszkania, służą także za dowód regularności w wypłacie komornego. Skutkiem tego niejeden kamienicznik, mając sumiennego lokatora, zniża mu komorne, lub chętniej zaprowadza w mieszkaniu ulepszenia. Członkowie rzeczywiści, odznaczający się w tym kierunku sumiennością, mogą otrzymać od stowarzyszonych jednorazową pomoc albo zaliczenia. Te ostatnie umarzają się stopniowo, przez bardzo nieznaczne podwyższenie wkładów tygodniowych. Stowarzyszenie pomaga lokatorom w sporach prawnych i wszelkich innych nieporozumieniach z wynajmującymi mieszkania; wogóle rozciąga troskliwą opiekę i zachęca lokatorów do trzymania mieszkań w czystości, wynagradzając za to celujących w tem członków. Rezultatem owego urządzenia jest to, iż niektórzy kapitaliści ubiegają się o lokatorów do swych domów robotniczych z pośród członków, uczestników stowarzyszenia.

Z przewyżki dochodów nad wydatkami, która się tworzy z części ogólnej sumy składek członków honorowych, każdy członek rzeczywisty otrzymuje w końcu roku małą zapomogę. Większość członków uważa to za procent od własnych wkładów. Z błędu tego ich nie wyprowadzają. Wielu też prosi o użycie przypadających im funduszów na zabezpieczenie od pożaru ich mieszkań. Stowarzyszenie ubezpiecza zbiorowo mienia uczestników.

Instytucya ta, pomyślnie się rozwijająca, marzy o budowie obszernych domów dla ubogich robotników i niewątpliwie zamiar ten przyprowadzi w przyszłości do skutku. A my? Skoro nie możemy na nic oryginalnego w tym kierunku się zdobyć, postarajmy się przynajmniej choć w części naśladować zagranicę po kilkudziesięciu latach.

HODOWLA BYDŁA.

W połowie bieżącego miesiąca, na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu, powszechną uwagę zwrócił wniosek p. M. Brusinowa o wadliwości obowiązującej obecnie taryfy celnej, jako środka do podniesienia hodowli bydła w Rosyi. Zapomocą cyfr autor udowodnił, iż hodowla bydła w całem państwie stoi o wiele niżej, niż w innych krajach, gdzie na mniejszych przestrzeniach ziemi osiąga się rezultat trzy razy większy, niż u nas. Na 50,000 pudów mięsa ruskiego, wywożonego za granicę, Ameryka i Austrya wywożą do innych krajów miliony tego produktu. Nie dziwno też, iż wobec takiego stosunku handel bydłem w Rosyi nie opłaca się obecnie wcale. W ostatnich czasach skutkiem przywozu skór z zagranicy, ceny ich znacznie spadły. Przewyżka wywozu wełny ruskiej nad przywozem zagranicznej dosięgała dawniej 10 milionów rubli, obecnie zaś, w ciągu ostatnich lat piętnastu, stosunek zmienił się w ten sposób, iż przewyżka przywozu nad wywozem wynosi 15½ miliona rubli. Przyszłość jeszcze smutniej wygląda. Rozpatrując przyczyny takiego stanu rzeczy, p. Brusinow uważa za główne: obciążenie ziemi podatkami, oraz rozmaite wydatki niepotrzebne i niedostateczna wysokość ceł przywozowych od produktów bydlęcych. Na ten ostatni punkt największy położono nacisk. Zebranie postanowiło przedstawić wniosek p. B. komisyi, istniejącej pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych. Jednocześnie projekt oddany będzie sekcyi III Towarzystwa, dla głębszego opracowania.

POŻYCZKI NA ZASTAW ZBOŻA.

W tych czasach ogłoszono instrukcyę dla Banku państwa o wydawaniu pożyczek na zastaw transportów zboża za pośrednictwem kolei żelaznych. Pożyczki udzielają drogi żelazne, które wniosły odpowiednie podanie i otrzymały pozwolenie. Wysokość pożyczki nie może przewyższać 60% wartości towaru. Oprócz procentu za pożyczkę, od pożyczającego pobiera się ⅓% sumy udzielonej, na utworzenie funduszu rezerwowego i ⅓% od tejże sumy na pokrycie kosztów operacyi. Pożyczki wydawane będą na pół roku lub bez oznaczenia terminu. Koleje udzielają pożyczek na zastaw zboża: a) przeznaczonego do wysyłania, a tymczasem złożonego na stacyi wysyłającej w osobnych składach, z opłatą za przechowanie nieprzewyższającą ½ kop. miesięcznie od puda; b) odrazu oddanego do wysyłki, przybyłego na stacyę przeznaczenia i przechowywanego w składach, z opłatą za przechowanie nie wyższą nad ⅓ kop. od puda miesięcznie. W pierwszym wypadku pożyczka wydaje się właścicielowi, który oddał zboże do przechowania w składzie, w drugim zaś — wysyłającemu. Na zboże obciążonem pożyczką nie może być zastrzeżoną wypłata należności, a na zastaw zboża, na którem jest zastrzeżona wypłata należności, nie może być wydaną pożyczka. Wydaje się ona najpóźniej w pięć dni od chwili zaprotestowania. Agenci kolejowi, przeznaczeni do wydawania pożyczek, mogą zmniejszyć ich wysokość, lub zupełnie odmówić udzielenia. Osoba, której pożyczki odmówiono, ma prawo żądać spisania protokółu, który będzie wręczony najbliższemu oddziałowi Banku państwa. Właściciel zboża, przeznaczonego do wysyłki, a tymczasem przechowywanego na stacyi wysyłającej, może go nie wysyłać i zabrać ze stacyi, lecz uiścić musi opłatę za przechowywanie. Przesypywanie zboża, zastawionego w składach na stacyi, może być dokonane tylko środkami kolejowymi. Gdy okaże się konieczność sprzedaży przed terminem zastawionego zboża, sprzedaż może być wstrzymana, jeżeli zboże będzie wykupione (w razie psucia się jego) w terminie siedmiodniowym od chwili wysłania rozporządzającemu zbożem zawiadomienia o przeznaczeniu na sprzedaż, lub jeśli będzie spłacony część długu do wysokości, umówionej pomiędzy koleją a osobą interesowaną.

Z. P.

BADANIA NAUKOWE.

BEZWIEDNA PRACA MÓZGOWA.

(„Unconscious cerebration“).

Amerykanin Franciszek Speir rozesłał przed kilku laty znaczną liczbę systematy-

cznie ułożonych zapytań co do bezwiednie odbywającej się w mózgu pracy umysłowej, dla oznaczenia której psychologia angielska używa bardzo odpowiedniego terminu „unconscious cerebration.“ W rezultacie otrzymał 102 odpowiedzi, przeważnie od osób, trudniących się wolnymi zawodami, lub też od studentów wyższych zakładów naukowych. Wyniki tych badań zostały niedawno ogłoszone drukiem*). Przypatrzmy się im.

Do najprostszych i zarazem prawdopodobnie najbardziej rozpowszechnionych objawów bezwiednej pracy mózgowej należą fakty w rodzaju następującego: „Razu jednego daremnie usiłowałem przypomnieć sobie tytuł pewnej książki, tak iż dałem za wygranę. Lecz po upływie jakiejś pół godziny, kiedy rozmawiałem zupełnie o czemś innem, nagle wykrztusiłem poszukiwaną nazwę — bez najmniejszego świadomego dążenia z mej strony i bez żadnego myślenia o samej książce.“ 95 odpowiedzi z pośród 102 nadesłanych potrącało o tego rodzaju bezwiedną cerebracyę, w tej zaś liczbie zaledwie 3% osób, które zaznaczyły, że w swem życiu duchowem nie miały do czynienia z podobnymi objawami. U większości czytamy w odpowiedziach uwagę, że „wypadki takie zdarzały się tak często, iż dotychczas nie zajmowali się oni nimi z tego powodu.“ Wśród osób, które posiadały w swem doświadczeniu wewnętrznem podobne przykłady, 40% czuło przed „wykrztuszeniem“ rezultatu bezwiednej pracy mózgowej niepokój i rozdrażnienie, których źródła na razie nie mogły się one doszukać w żaden sposób; wiele też wypowiedziało przekonanie, że stan ów był w związku z podążającą bezwiednie w mózgu robotą. 30% pisze, iż doszły do „przypomnienia“ dopiero po śnie lub względnym spoczynku. Innym objawem bezwiednej pracy mózgowej są zdolności do określania czasu bez zegarka lub do przebudzania się o potrzebnej lubo niezwyczajnej dla się godzinie. Z licznych przykładów wybieramy najbardziej złożony. „Doktór polecił mi osobiście dawać lekarstwa żonie, która była niebezpiecznie chorą. Dużo zależało na tem, aby przyjmowała pewne lekarstwo stale co dwie godziny dniem i nocą. Śpię wogóle bardzo mocno, lecz w przeciągu sześciu tygodni przebudzałem się systematycznie w żądanym czasie i ani razu nie chybiłem terminu. Otrząsałem się ze snu w jednej chwili. Podczas ostatnich nocy byłem podobnie ścisły i systematyczny, jak w przeciągu pierwszych.“ 40% osób, które pospieszyły z odpowiedziami, posiadało bardzo wyraźną zdolność przebudzenia się w oznaczonym, jakkolwiek niezwykłym czasie; mogły one to czynić, nie wprowadzając żadnego zakłócenia w swój spoczynek, póki nie nastała żądana godzina. Co więcej, w tej liczbie blizko połowa przebudzała się odrazu w potrzebnym czasie i od stanu sennego przechodziła wprost do zupełnej świadomości, druga zaś na kilka chwil przed przebudzeniem czuła pewne zaniepokojenie. Pozostałe 60% nie posiadały w wyraźnym stopniu podobnych zdolności; osoby te już przebudzały się bezustannie i sen ich był zakłócany ustawicznie, to znowu spały spokojnie, lecz za to spóźniały się. Słowem, wiele osób, w stanie zupełnej nieświadomości, może doskonale oceniać czas i nawet czynić to ściślej, aniżeli gdyby świadomie to robiły. Tym sposobem mózg w bezwiedzy dla osobnika spełnia mniej więcej tę samą pracę umysłową, której dokonywamy, kiedy mierzymy np. odległość pomiędzy dwoma punktami w przestrzeni.

Jednakże dotychczas mieliśmy do czynienia tylko z prostszymi objawami bezwiednej pracy mózgowej. Przystąpimy teraz do bardziej złożonych. Zaczniemy przedewszystkiem od faktów. „Studyowałem algebrę, która mnie naówczas bardzo interesowała. Wypadło mi rozwiązywać zadanie z sześciu niewiadomemi. Pracowałem wieczorem; po jednej lub dwóch godzinach starań daremnych odłożyłem je i udałem się do łóżka. Nocą śniło mi się, że do rozwiązania należy zabrać się w pewien sposób i że doszedłem do rzetelnej odpowiedzi. Rankiem, ocknąwszy się, jąłem się zadania jeszcze przed wstaniem z łóżka i, idąc drogą wyśnioną, otrzymałem poprawne rozwiązanie.“ „Napotkawszy jakiś trudny ustęp, czytam tekst, nie usiłując sobie go tłomaczyć. Zadawalniam się tą odrobiną sensu, którą mi daje powierzchowne przeczytanie. Wtedy porzucam pracę na kilka godzin i skoro później powracam do niej, znajduję trudności już rozwiązanemi. Nic podobnego nie zdarza się, jeżeli zaraz idzie jakiś drugi podobny ustęp.“ „Razu pewnego otrzymałem z Paryża list w języku francuskim, lecz zakończony angielskiem zdaniem: O how am I sorry! Nie mogłem odczytać tych ostatnich słów w stanie czuwania. Dopiero podczas snu doszedłem do tego z zupełną dokładnością.“ O częstości tego rodzaju wypadków trudno sądzić. Speir bowiem nie podaje bliższych szczegółów statystycznych i uwiadamia jedynie, iż wśród odpowiedzi tej kategoryi około 85% posiadało podobne fakty w swem życiu wewnętrznem, tj. kiedy bezwiednie otrzymywano wniosek, który ukazuje się zwykle w następstwie świadomego i celowego sprzęgania pojęć; 15% zaś odpowiedziało, że życie ich duchowe nie zna nic w tym rodzaju. W związku z tylko co rozpatrywanemi zjawiskami znajdują się inne, nie przedstawiające już powyższej łączności z jakimś faktem z przeszłych stanów świadomych, lecz doprowadzające do wyładowania bezwiednej pracy mózgowej w pewnym najzupełniej nowym kierunku. Mamy tu już sprawę ze stwarzaniem nowych idej i wynalazków, jakkolwiek działająca osoba nie myślała o czemś podobnem. „Podczas ostatniego roku pobytu w kolegium, wypadło mi napisać pewną rozprawę. Znalazłem się w niezwykłym kłopocie. Po nadaremnem poszukiwaniu stosownego przedmiotu, do bardzo późnej godziny, rzuciłem się na łóżko. We śnie nietylko znalazłem odpowiedni przedmiot do rozprawy, ale przeprowadziłem nawet rozbiór do najdrobniejszych szczegółów. Następnego poranku tylko przelałem na papier to, co mi się wyśniło. Rozprawa okazała się lepszą od innych, poprzednio napisanych.“ W rozpatrzenie tego rodzaju zjawisk zapuścimy się szczegółowiej; tu zaznaczymy jedynie ich łączność z bezwiedną robotą mózgową.

Widzieliśmy cały szereg faktów wymownie świadczących, że w naszem życiu duchowem po za robotą umysłową, dochodzącą do świadomości, podąża jeszcze inna, znana jedynie z świadomego swego początku i takiegoż ostatecznego wyniku, podczas gdy środkujące ogniwa zostają zupełnie zatracone w bezwiedzy. Jeżeli w pamięci naszej nagle wypływa poszukiwana nadaremnie przed kilku godzinami nazwa jakiegoś przedmiotu, jakkolwiek już eśmy porzucili myśl o tem, zjawisko to dowodzi tylko jednego, mianowicie, że po za świadomem sprzęganiem idej mózg nasz jednocześnie odbywał jeszcze bezwiednie drugą pracę tego samego rodzaju. Weźmy jeden z przytoczonych przykładów. Osoba staje wobec jakiegoś trudnego ustępu, czyta go tylko, że tak rzekę, oczami, aby uchwycić ogólne powiązanie wyrazów. Następnie rzuca książkę, bierze się do innej roboty, udaje się na spoczynek. Gdy znowu powróci do roztrząsanego ustępu, powiązanie idej jest już dla niej jasnem *). Mózg w zupełnej bezwiedzy rozwiązał spotkaną trudność — oto całe wytłomaczenie zagadki. Mimowolnie nasuwa się pytanie o mechanizmie mózgowym. Psychologia fizyologiczna stawia przed nami w całej doniosłości tę prawdę, że z wszelką pracą umysłową łączy się w naszym ustroju nerwowym jeszcze inna, zmiana fizyczna. Różne szczegóły pozwalają mniemać, że ta ostatnia sprowadzić się daje ostatecznie do przemieszczania atomów istoty nerwowej (wynikającego z procesów chemicznych itd.) oraz różnego stopnia w ich drganiu; inne zaś zmuszają do dalszej hypotezy, że z temi zmianami fizycznemi sprzężone są niekiedy odpowiednie stany świadomości. Słowem, działalność mózgu możemy sobie przedstawić jako zbiorowisko rozmaitych drgań, z których jedne dochodzą do uświadomienia, drugie — nie. Możemy ponickąd wywnioskować, że ta ostatnia okoliczność zależy od większego lub mniejszego stopnia natężenia drgania. W ten sposób sam przebieg da się przedstawić jak następuje. Wywołujemy pewne skojarzenia świadome w celu osiągnięcia jakiegoś pożądanego skutku, lecz po nadaremnych próbach porzucamy je i przechodzimy do innego przedmiotu. Drgania jednak, spowodowane działalnością poprzednią, nie ustają, podobnie jak raz potrącona struna może wciąż drgać, jakkolwiek ucho nasze utraciło już zdolności uchwycenia jej dźwięków. Podobnie wywołane w mózgu ruchy mogą iść dalej w sposób bezwiedny, póki nie wytworzą stanu materyalnego, współrzędnego z szukanem ongi rozwiązaniem, które, przy odpowiednich warunkach, wypływa wreszcie w naszej świadomości. Ku temu niezbędnem jest, aby odpowiednia działalność doszła do należytego natężenia. Widzieliśmy, iż w bardzo wielu wypadkach, przytaczanych u Speira, szukano rozwiązanie następuje dopiero podczas spania. Okoliczność ta dowodziłaby, że we śnie, przy braku innych, nawet słabe natężenia dochodziłyby do świadomości. Wprawdzie możliwem jest i drugie przypuszczenie, mianowicie, że w stanie snu „energia“ nerwowa, nie będąc rozpraszana w kilku kierunkach, może pewne stany słabsze doprowadzić do pożądanego natężenia.

Wśród badanych przez Speira zjawisk zwłaszcza jedno zasługuje na bliższą uwagę. „Wykrztuszenie“ przez bezwiedną pracę mózgu szukanych naprożno w pamięci imion, tytułów; mierzenie dokładne czasu; rozwiązywanie zadań matematycznych — wszystkie te wypadki posiadają swe źródło w pewnym początkowym stanie świadomości. Lecz psycholog amerykański rozpatruje jeszcze innego rodzaju fakty psychiczne. Z wszelką stanowczością wypowiada on przekonanie, że wiele nowych idej i wynalazków poczyna się w naszym mózgu całkiem bezwiednie i dopiero po pewnym czasie wypływa w świadomości. „Miałem uskutecznić w pewnem szkolnem zadaniu mnóstwo mnożeń. Nagle uzmysławiam sobie prawo, rządzące tem wszystkiem; pozwoliło mi ono osięgnąć rezultat prawie odrazu. Odkrycie to wtargnęło do mojej świadomości nagle, lecz przytem jako zupełnie jasne pojęcie.“ „W północie, gdy świadomość już ulotniła się, zajmuję się bardzo żwawo przypominaniem sobie niewypełnionych powinności lub pogrążam się w wysnuwanie zupełnie nowych idej, zwykle o charakterze praktycznym — bez współudziału woli. W porównaniu ze stanem normalnym, idee te posiadają zazwyczaj większą, aniżeli przeciętna jasność i ścisłość, dokładność i praktyczność. Są to czasami nowe myśli teorety-

*) *The Antechamber of Consciousness* w czasopiśmie *Popular Science*, 1888. Przykłady, podawane niżej, są właśnie zeznaniami różnych osób, którym rozesłano wspomniany kwestyonaryusz.

*) Korzystając ze sposobności, zwrócimy uwagę na jeden zwyczaj malców, uczęszczających do szkół, który być może nie jest, wobec rozbieranego faktu, zupełnie pozbawionym słuszności. Mianowicie mamy na uwadze przesąd, że, jeżeli uczono się długo lekcyi wieczorem, a mimo to przedmiot nie został przyswojonym, najlepiej iść spać, książkę zaś położyć pod poduszkę.

czne, lecz częściej plany przedsięwzięć praktycznych. W ten sposób np. doszedłem do zamiaru napisania szeregu artykułów o drobnowidzowych badaniach nad życiem roślinnem i zwierzęcem." Jeszcze wybitniejszego przykładu dostarcza w swem postępowaniu Dumas. Pisarz ten, po okresie nader płodnego, czynnego a pracowitego życia, wsiadł na swój yacht, znajdujący się na morzu Śródziemnem. Bezwładnie leżał tutaj całymi dniami na pokładzie, w stanie półsennym, nie widząc nic prawie przed sobą. Lecz nagle podnosi się i otrząsa z bezczynności. Rozpoczyna pracę gorączkową— z pod jego pióra ukazuje się rozdział za rozdziałem. W istocie jednak rzeczy, powiada Speir, wcielał on jedynie rezultaty pracy bezwiednej, która podczas wypoczynku odbywała się w jego mózgu. Właśnie na podstawie tego rodzaju faktów amerykanin wypowiada zdanie, że nasze świadome życie psychiczne stanowi tylko cząstkę odbywającej się w mózgu roboty, która w wielkiej rozciągłości może pozostać nigdy nieuświadomioną. Podobnie organizm ludzki bezustannie oddaje wodę w postaci pary, ale ażeby ona przybrała dla zmysłów naszych dostatecznie namacalną postać, do tego trzeba szczególnych warunków, np. odpowiednio nizkiej temperatury. Świadome stany byłyby jedynie bardziej natężonymi objawami działalności mózgowej. Słowem, należy przypuścić, że umysłowa robota ciągle odbywa się w mózgu i co chwila sprowadza nowe rezultaty, lecz jej wyniki w wielu razach mogą nie dochodzić do naszej wiedzy. Badacz amerykański czyni z tego powodu uwagę, że obok historycznej sławy Miltonów i Shakespeare'ów moglibyśmy prawdopodobnie znaleźć wielu innych niemniej wybitnych twórców, którzy pozostali nieznani i niemi nawet dla siebie samych, gdyż osiągnięte z ich mózgu skojarzenia obrazów i idej nie osiągnęły napięcia niezbędnego dla uświadomienia odpowiedniej osobie istnienia czegoś podobnego. Tu jeszcze jeden szczegół statystycznej natury. Wśród 102 odpowiedzi otrzymanych przez Speira, 40% zachowało najzupełniejsze milczenie co do faktów, dowodzących niezależnego od woli wyłaniania się nowych idej; 30% jasno zaznaczyło, że z niczem podobnem nie spotkało się w swem życiu duchowem; wreszcie 30% przyznało, że doszło do powzięcia różnych planów literackich lub praktycznych, do rozwiązania jakichś zagadnień matematycznych i t. d. w oka mgnieniu i bez zwracania na nie uwagi — w chwili, kiedy myśl przeciwnie zajmowała się zgoła czemś innem.

Korzystając ze sposobności, poruszymy jedną stronę pracy umysłowej, pominiętą przez psychologa amerykańskiego, jakkolwiek stał on tuż przy niej. Mianowicie, chcielibyśmy odznaczyć charakter żywiołowy niektórych kojarzeń, często bardzo długich i zawikłanych. Bierze się np. ktoś do wypowiedzenia swych myśli lub przelania ich na papier. Po kilku chwilach świadomość i dowolność zostają niemal utracone— potok obrazów i idej snuje się z niezwykłą szybkością, jedno skojarzenie samowolnie wywołuje jakieś inne, następne. Wola zupełnie nie kieruje tą sprawą, udział zaś świadomości ogranicza się jedynie do streszczania wyłanianych idej. Działalność umysłowa przypomina dobrze ustawioną maszynę, która po nakręceniu zaczyna wykonywać powien ruch i jednocześnie kreślić na papierze przebieg tego ostatniego. Co więcej, sprawa taka może się odbywać nawet wbrew woli odpowiedniej jednostki. W braku na razie innych przykładów, pozwolę sobie przytoczyć zdarzenie z własnego doświadczenia. Działo się to w jednem z uniwersyteckich miast niemieckich. Znajdowałom się w stanie silnego rozdrażnienia nerwowego; już spędzałem całe noce bezsennie, już znowu nie mogłem odegnać od siebie nadmiernej senności. Jednego wieczoru, około godziny ósmej, zaszedł do mnie znajomy medyk. Między innemi opowiadał o wykładach fizyologii i wspomniał, że zmiany w skurczeniu mięśni znajdują się w pewnym stałym związku z siłą podrażnienia nerwowego. Wyłożył samo to prawo i zauważył, że gdyby związek pomiędzy wspomnianemi wielkościami chciano wyrazić matematycznie, otrzymanoby jakąś krzywę drugiego rzędu. Wyszedł on ode mnie około dziesiątej, ja zaś udałem się do łóżka i wkrótce zasnąłem. Nie wiem po upływie jakiego czasu, dość, że znalazłem się w stanie świadomym, umysł zaś mój zastałem przy pracy — wyszukiwania równania odpowiedniej zależności. Nadaremnie wszelkimi sposobami usiłowałem przerwać tę bez mojej woli poczętą i prowadzoną sprawę rozumowania. Powtarzałem głośno różne bajki i wiersze, które zapamiętałem z czasów gimnazyalnych; to znowu liczyłem lub usiłowałem wywołać możliwe obrazy. Mimo wszystkiego, rozwiązywanie zadania biegło samowolnie swoją drogą, sprowadzając zmęczenie i bezsenność, aż póki nie znalazłem szukanej krzywej, z nią zaś snu. Obok tego faktu mógłbym zanotować parę innych, pokrewnych. Kilka razy, kiedym pracował nad jakimś przedmiotem, zdarzało się, iż opanowywała mnie myśl o rzeczy zupełnie obcej i to tak silnie, że wypadało albo porzucić wszelką pracę, lub też poddać się „opętaniu," że użyję tego terminu, i wziąć się do odpowiedniego wysnuwania skojarzeń.

Sądzę, że faktów, w rodzaju zebranych przez Speira lub przytoczonych przeze mnie, możnaby zgromadzić bardzo wielką liczbę i, co więcej, znaleźć wśród nich niektóre o donioślejszem znaczeniu. Cokolwiekbądź jednak nastąpi, pozwolę sobie wypowiedzieć zdanie, być może jeszcze przedwczesne, lecz w każdym razie dla mnie niewątpliwe. Otóż mniemam, że świadomość i celowość nietylko w twórczości artystycznej, lecz nawet przy wysnuwaniu pojęć naukowych odgrywać mogą czasami bardzo nieznaczną rolę. Być może, nawet działalność umysłowa wielu najpotężniejszych świeczników ludzkości była jedynie żywiołowem wyładowaniem się odpowiednio uzdolnionej maszyny mózgowej, podobnie jak u epileptyka widzimy to samo we względzie różnych popędów krwiożerczych...

—k—i.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Jan Kasprowicz, *Poezye.* Lwów. Księgarnia Polska, 1889, str. 246, *Biblioteka Mrówki,* tom 257—9.

Ideały, wypieszczone w zaraniu romantycznem, a zawieszone gdzieś w obłokach, rozwiała w puch lub zmroziła trzeźwa atmosfera pozytywizmu. Ściągnięto niebiankę ze sfer napowietrznych na ziemię, wytrącono z jej rąk liliowe „badyle" i dano skalpel „analizy"; różowe okulary, któremi patrzyła na świat, zastąpiono mikroskopem dla tem ściślejszej obserwacyi życia, a zachwyty jej wyegzaltowanej wyobraźni zaczęto filtrować trzeźwym rozsądkiem. Gdy uzbrojona muza pozytywizmu rozpatrzyła się po ugorze, chwastem bezczynności szlacheckiej obrosłym, zabłoconym przez egoizm i glupotę, skraplanym tylko rosą niedoli i łez ludzkich, serce jej zaszło chmurą zwątpienia, oblicze jej zasłoniła mgła smutku i robak pesymizmu zaczął toczyć jej wnętrze. Z tego stanu zbudził poezyę epoki „pozytywnej" najnowszy ruch demokratyczny, przywracający ideałom społecznym i spowinieranemu uczuciu należne prawa. Zwiastunem nowej ery, którą w przeciwieństwie do realizmu, naturalizmu lub materyalizmu nazwaćby można kierunkiem społeczno-idealnym lub ludowym, są znakomite utwory Maryi Konopnickiej. Obecnie wyszedł dobitny, uświadomiony, choć mniej kunsztowny głos z piersi młodego poety, który po pierwszych swych próbach poetyczych, przeszedłszy szczęśliwie ogień prasy peryodycznej, stanął wyraźnie na stanowisku owem. Słusznie zauważył T. T. Jeż, pełniący przy chrzcie literackim niniejszego zbiorku rolę ojcostwa, że choć poezye Kasprowicza nie przedstawiają się publiczności w haftowanym stroju — wyszły w mniej niż skromnej sukience biblioteczki *Mrówki*—to jednak wypłyną one na wierzch dzięki sile i fizyognomii poety mocno zaznaczonej, które to własności w walce z miernotą naszej muzy, cierpiącej na bezkrwistość, zapewnią pierworodnemu dziecku autora trwalsze istnienie i wcale wydatne miejsce na kartach literatury polskiej. Na czem — spytacie zapewne — polega ta odrębna właściwość eolskiej arfy młodego poety. W przeciwieństwie, a raczej z reakcyi do pesymizmu pozytywistów, uderzył Benjaminek najnowszego kierunku w niespożytą strunę ludową i zanucił „hymn wiary." W wierszu, zatytułowanym „Trzeba nam wiary," wyjaśnia poeta bliżej, jak pojmuje nową religię. Trzeba nam wszechpotężnego gmachu religii, spoczywającego na wspaniałej kolumnadzie miłości i rozumu, tej religii ufności pełnej, że wobec niedoli i biedy powszechnej złączeni w świątła hufiec orężny pójść mamy do walki z podłością, z egoizmem i z ciemnotą ludzką, trzeba nam wiary, że ten gmach słońca i chleba, zamknięty dziś dla maluczkich, dla wszystkich ma być otwarty.

W tym duchu odzywa się poeta zaraz w przedsłowiu do swoich poezyj — w tym tonie trzymane są nawet smutne akordy „z padołu walki," ogrzewające swym płomieniem pierś lodowatą, wysychającą w zwątpieniu i ocucające nieufnych zdrojem otuchy. Być takim Zniczem wiary jest pierwszem i ostatniem życzeniem młodego poety. Tą wiarą owiane są nietylko jego „melodye wiosenne," przesiąkły nią nawet mgliste „jesienne pieśni." Kiedy grudzień rozsypie swe szrony na senne skronie przyrody, duch poety wznosi dłoń do złotych promieni wiosny, serce jego, tonące pośród mgieł jesiennych, nie przestaje wierzyć, że siła słońca, ukryta w głębinach zmroku, jest bytem wiecznie trwającym. Chociaż jeszcze świt lepszej doli zakrywają fałsz i nędza — on czuje dzień nowy w głębiach ludzkości. Schylając czoło przed matką — naturą, wielką porodem i wielką zniszczeniem, rozumie znaczenie walki i pokoju, radości, smutku, rzeczywistości i złudzenia harmonii dźwięków i zgrzytu rozdźwięków, bezdennej próżni i niewyczerpanej pełni, i wie, że one składają się w jedną całość — w życie, którego godłem „wieczność treści, chociaż form odmienność." Poeta nie traci wiary w poranek odrodzenia, choć „mgieł się ciemnych tyle dziś pokładło na senną ludzkość," choć „od skarg i zawodów skroń jej blada pokrajana w bruzdy" — od zwątpień bowiem tamyśl go ochrania, że „z ziarn, co wczoraj padły, jutro źdźbło wystrzeli, a chociażby niedaleka przyszłość słonecznych blasków, ale też krwi i zgliszczów pełna, zamieniła w gruzy najdroższe jego sercu kolumny, on nie straci wiary, wiedząc, że świat do życia zawsze przez śmierć będzie kroczył.

Autor, syn chłopa poznańskiego, urodzony i wychowany pod ubogą strzechą, pasający w dzieciństwie krowy, pisząc poezye swe nie przy oświetleniu gazowem, lecz przy prostem łuczywie, zna lud wiejski nietylko z obserwacyi, ale z własnego doświadczenia. Jako nieodrodny syn ludu, on przecież kość z kości jego, odczuwa jego bóle i miewa wspólne z nim dążenia i interesy społeczne. W twardych, ciętych i urywanych tonach „sonetów z chałupy," szarpiących i targających nerwy jak nieukojone fizy-

czne boleści organizm chłopski — drżą jeszcze napięte struny cierpień i smutków ludu, wypowiedzianych jak skarga domagająca się nie zlitowania, ale sprawiedliwości...

Przypatrzmy się lepiej tym prawdziwym obrazkom, czy krzywdom chłopskiej doli. Oto historya młodej pary:

W pierwszych latach, kiedy się pobrali, szczęście im kwitło jak w polu makówki, ale nastały ciężkie zimy i ciężkie przednówki, poszło bydło, chata i tak dalej. Wreszcie on zakończył życie w karczmie pod ławą, dzieci w służbie, a ona od wsi do wsi żebrze i pije... W poniedziałki, pogoda czy słota, idzie na targ z tłomokiem, aż na czole występują srebrzyste krople potu, lecz cóż począć — potrzeby wzrastają ze wzrostem drobiazgu, trzeba odziać sieroty, trzeba zapłacić podatek. Wraca już z miasta, zakupiwszy to soli, to krup, to obwarzanków — przychodzi do chaty — lecz o nieba! — chałupa tli się już tylko, a dzieciska spalone na węgiel...

On w łachmanach z dzieckiem na ręku, ona owinięta w kawał czarnej chuściny, idą przez rowy i rżyska w świat szeroki — na biedę. Wiatr jesienny dmie im w oczy ponurą piosenką, milczą, bo na cóż słowa, on ich dotąd natracił do syta. Jeszcze raz wyciągnął dłonie: „dajcie pracy," lecz i stąd ich odpędzono. „Przybłędów nam nie trzeba, dość mamy swoich nędzarzy..."

W mróz trzaskający wlecze się bose chłopię w siermiężce na strzępy podartej, gbur przez lato trzymał sierotę do bydła, na zimę dał kawałek chleba w zanadrze i puścił do dyabła...

Było to w czasie żniwa. Biedna, spracowana wdowa usnęła pod snopem. Ciężka to dola krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem i tak wciąż dyszeć, jak ryba w matni. Pogrzeb męża i wędrówka syna za morze pozbawiły ją wszelkich środków do życia. Padła głodem zmęczona, a przecież wkoło piętrzą się snopki kłosistego zboża i bogactw pełna gleba. W lód się myśl jej ścięła na smutne jutro, na jutro głodowe.

(D. n.).

H. Biegeleisen.

ZE ŚWIATA.

II.

Przyrzekliśmy na blade tło rzeczywistości, nieobfitującej zaiste w potężne indywidualizmy, takie, które dla sztuki stają się typami na wieki całe, rzucić kilka sylwetek z czasów dawnych, choć przyszło ich szukać aż w nieznanym Portugalu. Niezawodnie rozwinięte jak dziś życie społeczne i zależność towarzyska staje na przeszkodzie wyrastaniu wielkich jednostek; człowiek nabiera barwy dopiero wtedy, kiedy go obserwujemy w pewnej grupie, czy ona szkołą się zwie, czy stronnictwem; tak kawałki szkła dopiero wtedy, gdy je na sobie ułożymy, okazują się zielonymi.

Najciekawszą epoką literatury portugalskiej nie był „wiek złoty" z Camoesem w epice, Gilem Vicente w dramacie, Ferreirą w liryce, ale ten krótki przeciąg czasu, na który przypada dojrzewanie we Francyi ziarn wolteryanizmu i Encyklopedyi oraz wybuch rewolucyi, a w którym pojawiają się na scenie literackiej trzy figury z bronzu: Filinto, Bocage i ojciec Macedo. Należy uprzytomnić sobie stan ówczesnego piśmiennictwa: cały wiek XVII i połowa XVIII spełzły na czczej i sztucznej literackiej fabryce, niesmacznej modzie gongoryzmu, retoryki, mędrkowania, szumowinach Odrodzenia, równych wszędzie (z wyjątkiem Francyi) w ówczesnych literaturach. Nic naturalniejszego, że po zupełnem wyczerpaniu tematów zjawia się literacki związek Arkadya, wzorem rzymskiej, założonej przez Gravinę, a istniejącej jeszcze dziś w formie o tyle oryginalnej, że należą do niej przeważnie duchowni, bawiący się w pasterzy, wybierający przewodnika, urządzający pasterskie święta i zabawy, itd.

Arkadya portugalska istniała ledwo dwa lata i upadła; podźwigniono ją w roku 1790 pod nazwą Nowej Arkadyi: potrwała jeszcze 3 lata, ale w tej epoce zawrzała w samem jej wnętrzu straszna walka dwu pokoleń i dwu światów: jednego— który zapadał, drugiego — który się dźwigał. Bohaterami nie były tam duchy szlachetne, ale negacya i występek: Bocage ujadał się z ojcem Macedo, ateusz i rozpustnik napadał na wyklętego mnicha. Nim się do nich zbliżymy, potrzeba nam cofnąć się jeszcze do jednego pisarza starej Arkadyi, który miał stworzyć całą szkołę; był nim Manuel de Nascimento, arkadyjskiem mianem Filinto Elisio. (1734—1819).

Rzecz niesłychana, jak torował sobie drogę do Portugalu cyniczny i sceptyczny duch Voltaire'a. Dwa fakty uderzają przedewszystkiem: literatura ówczesna jest rozwiązła aż do grzechu i niechrześciańska aż do ateizmu. Filinto był księdzem i przed Inkwizycyą musiał uciekać dwukrotnie do Paryża, gdzie przebył lat 40 i umarł w nędzy, nie upokorzywszy się przed „bonzami." Nic dziwnego: rząd ówczesny z łaski boskiej nie mógł narażać się na jej utraty sprzyjaniem wolnomyślicielowi. Filinta jednak nie przytarły wygnanie ni nędza: do końca życia pisał straszne satyry przeciw królom i księżom. „Sądzicie się królami, a jesteście niewolnikami bonzów"—powiada w jednej; sławi Francyę i Amerykę jako kraje szczęśliwe, wyszydza katolicyzm i chwali sobie protestantyzm. Inny poemat streszcza bardzo wyraźnie przekonania autora. „Wierzenia, chimery stłumiły światło rozumu, które roztropna natura zapaliła nam w głębi duszy; zabobon zniszczył kosztowne dary, którymi cieszyli się śmiertelni; wzniosłą etykę, prostą i czystą zdusiły nabożeństwa, pielgrzymki, świeczki, weroniki, śmieszne obrzędy, przedmiot żartu ludzi rozsądnych, przedmiot żartu protestantów, którzy wziąwszy ewangelię za przewodniczkę, zarzucili bractwa, szkaplerze, itd." W dalszym ciągu przypisuje królom winę upadku państwa przypuszczaniem trutniów do miodu, winę przytępiania rozumu poddanych i swego własnego —jarzmem Rzymu.

To też gniew ścigał nie samego Filinta: w 1803 r. policya Lisbony ogłosiła, że ktoby chował u siebie jego książki, będzie skazany na wywiezienie do Afryki na lat 10. Mimo to czytano Filinta wiele; prawda w rękopisach tylko, a to nie ulżyło jego żebraczej nędzy, w jakiej umarł. Uczcił go poezyami Lamartine, uczcił uczeń wiecbr. Almeida Garrett.

Nie dla swych walk z rojalizmem i papiestwem, nie dla krzewienia rewolucyjnych idej jest Filinto osobistością w literaturze tak ważną; on przywrócił świetność portugalskiemu językowi, on rozpoczął oczyszczanie, walkę z gallicyzmem, tym samym, który wydawał mu się tak wielki w polityce i religii, a zgubny tylko w języku; walkę z kastylszczyzną, której wpływu obawiał się instynktownie. Wielbiciel klasyków XVI w. starał się pisać ich językiem, jest też obok Camoesa po dziś dzień najwyższą instancyą w kwestyach czystości języka.

Filinto zostawił po sobie szkołę Filintystów, vulgo klasyków; drugi kierunek Elmanistów wziął nazwę od Bocage'a, Elmana w Arkadyi. (1776—1805).

W tym wielkim poecie miotały się dwie natury: szlachetna i podła, uczuciowa i cyniczna. Młodość gubi w rozpuście, fantazyę wyzyskuje na lubieżne wiersze i bezwstydne epigramy, rzuca się na wszystko poważne i szanowne, dzikimi wybrykami szerzy w stolicy postrach i zgorszenie. Zapisawszy się do Arkadyi, rozpoczyna literacką karyerę od wyzwania wszystkich członków na języki, najgłośniej lubi się ucierać z ojcem Macedo, przedstawicielem i obrońcą Starego Świata. Epigramy latały jak szerszenie: nie było dość ostrego i dość sprośnego wyrazu, którego by nie użyto na pocisk. „O wszystkich zawsze źle mówi bezbożny Manuel Maria; jeśli nie mówi o Bogu, to dlatego, że go nie zna"— zaczepił go Domingo Caldas, a Bocage na to, nie dbając nawet o dowcip: „Mówią, że żarłok Caldas na Bocage'a wyszczerza zęby: rzecz zaiste bardzo dziwna, że psy rzucają się na ludzi." Wyrzucono wreszcie Bocage'a z Arkadyi; a mało tego, wnet dostał się do więzienia za długi poemat w formie listu, odzywający się groźnym buntem przeciw państwu i religii. List nosi tytuł: *Do Maryli*, a zaczyna się tak:

„Przerażająca maro wieczności, postrachu żywych, więzienie umarłych, nędznych dusz nędzne senne widziadło, piekielny systemie polityki ciemiężców, wędzidło, które despota ręką bonzów ukuł na łatwowierność, przeklęty dogmacie, który wydzierasz wyrzuty obawy z łagodnych serc i odbierasz im spokój; wstrętny zabobonie, zatruwający niewinne uciechy, takie, jakie w raju znaleźć mamy;... ha! furye, smoki, potwory, wieczne ciemności, płomienie, katusze, bezmyślne twory obłędu—nie zasępią mi serca wasze ciemne barwy..." Następują marzenia, widzenia utopijnego państwa i społeczeństwa, które głównie skłoniły rząd Maryi I do użycia surowego środka. To, że cierpiał za swe przekonania, mogłoby podnieść Bocage'a w naszych oczach, ale sympatye dla człowieka giną z chwilą, kiedy obłudnie zaczyna przysięgać poprawę i żebrać zmiłowania. Wypuszczono go, umarł jak nędzarz, a grób jego pozostał nieznany.

Talent niezaprzeczenie olbrzymi, doświadczający porywów natchnienia właściwego tylko wielkim poetom; nie mówimy o tem, które ogarniało go w tawernie, gdzie improwizował do swych chwilowych kochanek, ale o tem, śród którego czuł w swej piersi siłę „boskiego oddechu."

Trzecim z tych gwałtownych artystów namiętności był ojciec Macedo (1760—1831). Tego wygnano z klasztoru za niemoralność; rozżarty wynagrodził sobie to upokorzenie, ogarniając cały świat literacki: trybunę, scenę, dziennikarstwo, kazalnicę nawet, bo uzyskawszy napowrót sekularyzacyę, dopowiadał z ambony to, czego druk pomieścić nie mógł. Szałem jego była walka z pisarzami, którzy posiadali, choćby od wieków, sławę i cześć. W *Buncie literackim* depce wszystkich wielkich, począwszy od Homera, a skończywszy na Camoesie, tej nietykalnej świętości Portugalu, w której wykrył pospolitą kopię Wirgiliusza, Ariosta i Tassa. W przedmowie do poematu *Oriente*, osnutym zuchwale na tym samym temacie, co *Luzyady*, powiada Macedo: „Zacząłem przypatrywać się *Luzyadom* i spostrzegłem, że fabuła nie jest oryginalna, ale pożyczona; że poecie brak zmysłu inwencyi i że można by go postawić zaledwo między niewolniczymi naśladowcami; obaczyłom dalej, że rozkład i symetrya budowy są tam w najwyższym stopniu błędne w skutek nieproporcyonalności części zasadniczych itd. itd." To wszystko prawda, a Macedo jest bystrym i na swój czas niesłychanie postępowym krytykiem; choć konserwatysta i klasyk, jest bezwiednym rzecznikiem romantyzmu. "Molochu pedantycznych krytyków, co chcesz w mechaniczne reguły ująć lot geniuszów, którzy właśnie dziełami swemi reguły tworzą; zamknąć talent w ciasnym kole przepisów, narzuconych rozkazem nauczycieli, którzy

nic nie stworzyli, nic nie mogli, nie umieli stworzyć..." — tak odzywa się na kilkanaście lat przed narodzeniem się romantyzmu we Francyi. Równocześnie zaślepia go świadomość niedorównanej naówczas erudycyi. Epopeję ową *Oriente*, nudniejszą jeszcze niż *Luzyady*, poprzedza takiem samochwalstwem: „Zdaje mi się, że ta epopeja jest możliwie najpoprawniejsza." Za taką obrazę Camoesa posypały się złorzeczenia i docinki, w rodzaju tych Fr. Cardosa. „Na Parnas wstąpił nowy rywal Camoesa. Muzy widząc go, zaczęły się śmiać, lecz Apollo rzekł: niech wejdzie, znajdzie się miejsce i dla niego; żywiłem konia, potrafię przy nim wyżywić i osła..."

Gdyby nie ta duma i pogarda innych Macedo byłby liczony z pewnością do największych portugalskich pisarzy, choćby ze względu na seciny tomów, jakie napisał w różnej materyi: od poezyi aż do ekonomii politycznej. Tak jednak umarł wzgardzony i do dziś dnia imię jego jest wyklęte u zawziętego narodu, u którego z przekleństwa losu wszyscy wielcy pisarze kończą żebraczą dolą Camoesa.

Po śmierci tych trzech nastąpiła w Portugalu nowa literacka epoka: Filinto i Bocage zostawili szkoły; do pierwszej należy dramaturg Almeida Garrett, do drugiej historyk i poeta Herculano. Spółcześni im: Castilho „Owidyusz portugalski," romansopisarz Castello Branco, wszechstronny Mendes Leal, stoją po za granicą niniejszych szkiców; wypada nam jedynie przyjrzeć się ludziom dnia dzisiejszego.

Egrot.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mowa nadgrobna i wspomnienie studenckie o dziesiątce. — Czem się żyło. — Gra hazardowna między trzema dziesiątkowiczami. — Marzenia. — Pocieszycielka utrapionych. — Dom dla sierot po robotnikach. — Ofiary lat ostatnich. — Wylew Wisły. — Prawidłowość jej zniszczeń. — Stała rubryka w naszym budżecie. — Wiadomość przywieziona przez p. Blocha i opozycya lekarzów. — A. i B. — Jak można wytańczyć dla biednych więcej pieniędzy.

Niezadługo zejdzie z tego świata i złożona zostanie do grobów historycznych istotka, która przez lat kilkadziesiąt miała ścisły związek z naszem życiem i dla której uczuwam w tej chwili szczególną sympatyę. Jest to naprzód sympatya wspomnień młodzieńczych. Uprzedzić winienem czytelnika, że jeżeli dziś kieszeń studencka bywa często chuda, to podczas mojego pobytu w uniwersytecie była zwykle zbyteczna. Przez lat dwadzieścia bowiem pomnożyły się stypendya, rozwinęły się rozmaite postacie ofiarności publicznej i zarobkowania młodzieży. Między studentami Szkoły Głównej panowała rzetelna nędza, która marzyła o trzyrublowej na miesiąc korepetycyi, o przepisywaniu wyroków Sądu Apelacyjnego po 10 gr. od arkusza, lub o zdobyciu stypendyum Ciołka Poniatowskiego 50 rs. rocznie. W żadnym już później turnieju nie widziałem takiego rozgorączkowania, takiego trwożliwego bicia serc, jak przy pierwszym konkursie na stypendyum Młockiego, obiecującem zwycięzcy aż 300 rs. rocznie. Stanęło nas do walki 90 kilku, między którymi był jeden ciężko chory, wniesiony przez kolegów do sali egzaminacyjnej. Co najmniej połowa młodzieży należała do ptaków niebieskich, lilij wodnych i stołowników Towarzystwa dobroczynności (tanich kuchen wówczas nie było). Czem ci ludzie żyją — nieraz trudno było orzec. W kole moich znajomych był jeden szczęśliwiec, któremu matka dawała 60 rs. miesięcznie i który tę sumę w dniu odebrania puszczał z dzieweczką w pewnej restauracyi a potem przez 29 dni spał — ale tylko jeden. Było kilku innych, którzy mieli 15 rs. i ci stanowili klasę bardzo zamożną. Większość cierpiała głód. U dwu braci, jadających obiady, spotykałem prawnika, który podobno nie miał żadnego dochodu i który przychodził do nich, gdyż — jak twierdził— widok ludzi sytych i kilka stronic Wirgiliusza zastępowało mu zupełnie obiad. Wytworzyły się między tymi biedakami najdziwaczniejsze teorye hygieniczne o uśmierzaniu głodu paleniem papierosów, czytaniem zajmującej powieści, przyglądaniem się rewii wojskowej itp. Pewnego roku mieszkało nas razem trzech: ja miałem 5 rs. miesięcznie, drugi — produkty wiejskie z dodatkiem pieniężnym, a trzeci 10 rs. kwartalnie. Ten drugi co rano nalewał w miskę gorącej wody, kładł w nią tłuszcz, drobił chleb i jadł wobec nas, zachwalając wytworny smak „kaplona" i zapominając dać nam możność przekonania się o tem praktycznie; trzeci czytał rozmaite *Tajemnice* (Londynu, Paryża itd.) i pił herbatę niesłodzoną, ogryzując lekko bryłkę cukru, którą mu wystarczała na miesiąc; ja z 20 groszy dziennie, które mi pozostawały po zaspokojeniu mieszkania i innych potrzeb sprawiałem sobie raz na dwa lata zadysponowany obiad z dwu serdelków i czterech bułek. Bieda ta odgryzała się podczas świąt u rodziców i krewnych. Ale raz, zatrzymani przygotowywaniem się do egzaminów, pozostaliśmy w Warszawie. Pewnego wieczoru zmęczeni nauką i głodem, zaczęliśmy rozmyśliwać, czemby wzmocnić osłabione siły. Ktoś z nas zaproponował karty. Ponieważ dwu z nas nie rozumiało się na tej sztuce, więc uchwalono grę hazardowną. Szła ona z początku z równem dla wszystkich szczęściem, ale nagle jeden zaczął przegrywać i coraz bardziej do nowych stawek się zapalać. Rubel, dwa, trzy, dziesięć (naturalnie rachunek odbywał się tylko słowami), wreszcie—czterdzieści. Dosyć! — krzyczymy. Biję czterdzieści! — zawołał i znowu przegrał. Zapanowało ogólne zamieszanie i pognębienie. Osiemdziesiąt rubli byłoby dla każdego ubogiego człowieka stratą znaczną, ale nie można mieć wyobrażenia, jakie suma ta przybrała rozmiary w oczach naszych. Gdyby lord angielski przegrał wartość Irlandyi, nie czułby się równie przerażonym. Co tu począć? Nieszczęśliwy nasz kolega sumy takiej nigdy nie posiadał a za honorowy dług ją uważał, my ani jej wziąć od niego nie mogliśmy, ani chcieli. Po długich szeptach na boku postanowiliśmy grać dalej, ale już nie powierzać się całkowicie losowi, lecz mu pomagać na korzyść pokrzywdzonego. Wtedy nastąpił jedyny w swoim rodzaju i pyszny „dyabelek:" podglądano karty, zsuwano niepożądane, tasowano i zbierano ustawicznie, aż wreszcie owe 80 rs. stopniały zupełnie. Nastąpiła powszechna radość, którą należało uczcić składkową biesiadą. I wtedy okazało się, że z pięciu uczestników namiętnej, hazardownej gry, w której jeden „bił 40 rs.", tylko trzech miało — po dziesiątce.

W owym czasie po młodych głowach przesuwały się najrozmaitsze marzenia, ale najczęstszym przedmiotem ich tęsknych rojeń była *dyska*. Z myślą o niej budził się student rano i zasypiał wieczorem, ona zaprawiała mu dzień każdy weselem lub smutkiem, ona rozstrzygała o jego studyach. Dziś już dawnej roli odgrywać by nie mogła, bo straciła na wartości wobec zmienionych warunków ekonomicznych. W każdym razie niech spocznie z dobrem imieniem.

Bracia Lenval założyli w Warszawie dom dla sierot po robotnikach. Jest on urządzony tak wygodnie i zaopatrzony dostatnio, że dziesiątkowa młodzież uniwersytecka moich czasów, wzdychająca do mizernego a dziś już nieistniejącego seminaryum nauczycielskiego, uważałaby za szczyt szczęścia otrzymanie miejsca w takim przytułku. Zrobiono nawet uwagę szanownym fundatorom, że może byłoby lepiej uszczuplić trochę zbytku 60 wychowańcom a pomnożyć ich liczbę. Panowie L. jednakże chcą pozostać przy swym planie, który nie kończy się na ochronie dla sierot, lecz zamierza kształcić wyżej rozwinięte siły fabryczne — podmajstrzych. Dziś widzimy dopiero budynek, sale i sprzęty, na rezultaty czekać musimy. W każdym razie już dziś uznać trzeba szlachetną dążność filantropów i wogóle zaznaczyć, że w ostatnich czasach spłacono u nas stosunkowo wiele z długu względem robotników. Poważne dary Szlenkiera i Norblina, urządzenia żyrardowskie, o których p. Plebiński ma mówić w wykładzie publicznym na korzyść Osad rolnych, wreszcie fundacye Lenvalów — nie licząc objawów drobniejszych — wszystko to są fakty doniosłe. Do ich zaś bezpośredniej użyteczności należy doliczyć wpływ przykładu, który nie jest w sferze kapitalistycznej zbyt zaraźliwym, czasem jednakże po niej się rozszerza.

Wisła długo intrygowała reporterów i gawiedź czatującą na jej wylew. Przez kilkanaście dni podskakiwała w górę i opadała na dół, nie zdradzając swych stanowczych zamiarów. Nareszcie złamała lodowe okowy i urządziła widowisko, wyrównywające swą grozą poprzednim. Znowu szerokie pasy jej brzegów zalane, znowu wsie zniszczone, znowu ludzie z dobytkiem potopieni i znowu tor kolei Nadwiślańskiej na przestrzeni trzech wiorst przerwany. Wszystko powtórzyło się z dziwną prawidłowością. Bo nawet pod tym samym Nowym Dworem, który ubezpieczono po ostatniej katastrofie, woda wyryła sobie koryto. I czy to tak corocznie mamy płacić straszną daninę szalejącemu żywiołowi? Z myślą tą oswoić się trudno a jednakże oswoić się trzeba.

P. Bloch, powróciwszy z zagranicy, przywiózł wiadomość, że tam łączenie domów z kanalizacyą miast odbywało się dobrowolnie. Pomimo to obecni na naradzie lekarze oświadczyli się za przymusem. Według nas ci pozorni terroryści znają „naszych Paponheimerów." Zagranica w wielu wypadkach nie może być dla nas dowodem. Wezmę jeden przykład. Żadne prawo nie broni niemcom wybicia wszystkiej zwierzyny w okresie polowania; a jednakże żaden niemiec tego nie robi i tak zwierzynę oszczędza, że w przejeździe z okien wagonu widzieć można gromadki zajęcy. Tymczasem, co się u nas dzieje? Chłop zamienił się na lisa i jastrzębia, który niszczy wszelkie stworzenie, niejeden obywatel ugania się przez całe tygodnie za zającem lub parą kuropatw, które jeszcze ocalały na jego polach. Przypuśćmy teraz, że wejdzie w wykonanie zamierzona ustawa, ograniczająca prawo polowania bardziej, niż dotychczas; czy przeciwstawimy jej pomyślne skutki swobody niemieckiej? My takich skutków ze swobody nigdy nie osiągniemy. Podobnie rzecz się ma z kanalizacyą domów. Dobrowolność rozłoży załatwienie tej sprawy na długie lata a może nawet nie załatwi jej nigdy. Niech będzie przyznana niezamożnym jakaś odwłoka, ale nie do nieskończoności. Zresztą bądźmy konsekwentni. Sama kanalizacya ulic jest przymusową, bo przecież nie wyszła z głosowania właścicieli domów, lecz została poleconą. Ten przymus z konieczności rodzi drugi — skanalizowanie domów. „Kto powiedział *A*. — musi również powiedzieć *B*" — uczy przysłowie, w tym wypadku bardzo stosowne. Niepodobna przecież, ażeby miasto wydało tyle milionów rubli dla schowania pod ziemię rynsztoków i sprawienia wygody bogaczom.

Żałuję mocno, że już po karnawale znalazłem w pismach nowy, naturalnie paryski pomysł mnożenia dochodu z balów dobro-

czynnych. Na jednym z nich pewną piękną francuskę zaprosił do tańca rycerz salonowy.

— I owszem — odrzekła — ale żądam 20 franków!

— Daruje pani — wybąkał zmieszany — zachodzi pomiędzy nami nieporozumienie; ja prosiłem o zaszczyt przetańczenia z panią walca.

— Ach, tak — odparła — masz pan słuszność — to nieporozumienie. Sądziłam, że pan zapraszasz mnie do kontredansa, walc kosztuje 40 franków.

Jeszcze bardziej stropiony rycerz oczekiwał bliższego wyjaśnienia.

— Muszę pana uprzedzić — rzekła dama — że ja tańczę na korzyść ubogich według takiego cennika: luidor za kontredans, dwa — za walec — i to bez rabatu.

Jeżeli— o czem nie wątpię — piękne panie (brzydkim nie radziłbym się ryzykować, gdyby nie to, że takich w Warszawie nie ma—według *Kuryerów*), jeżeli tedy w przyszłym karnawale tańczyć będziecie dobroczynnie, zastosujcie pomysł owej paryżanki.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

I.

CO SIĘ U NAS WYRABIA W KRYTYCE.

...In meiner theuren Heimat
Ist das Lumpenthum in Fortschritt...
Atta Troll (Heine).

Przyznaję, byłbym niewymownie wdzięczny *Bibliotece warszawskiej* za rozrywkę, sprawioną ćwiczeniem p. Dworzaczka o Morganie, gdyby ta przyjemność wolną była nadto od sporej dawki piołunu, mianowicie nie stanowiła nowego dowodu, iż nieuctwo staje się obecnie u nas przywilejem już nietylko organów brukowych, lecz nawet czasopism, wypowiadających roszczenia, mniejsza o filozoficzne stanowisko, do poważnego traktowania rzeczy. Lecz przedewszystkiem, cóż takiego przedstawia „rozprawa" p. Dworzaczka? Proszę przeczytać jakąś książkę, wyszukać w niej pewną ilość ustępów, po większej części niczem niezwiązanych z sobą i poddać je, w oderwaniu od reszty, krytyce, a czasami jedynie rozpatrywaniu logicznej budowy zdania. Krytykę samą przeprowadźmy w sposób następujący. Weźmy jakieś dogmaty filozoficzne (w obecnym wypadku metafizyczne) i porównajmy poglądy w krytykowanem dziele, czy zgadzają się z tym naszym probierzem, wyniki zaś porównania streśćmy stosownie — np. „jest to naigrawanie się z podstaw bytu społecznego" lub postawmy bez liku znaków zapytania. Będziemy wtedy mieli ogólną receptę, według której p. Dworzaczek „rozprawił się" z Morganem. Zresztą, znaki zapytania, około setki, posiadają u niego inne znaczenie, wyrażają bowiem nadto zdziwienie i jeszcze coś więcej. Pojmiemy ich rolę, jeżeli te martwe haczyki na papierze przetłomaczymy na żywy fizyologiczny język mimiki, kiedy słyszy się coś bardzo nowego. Zresztą, można być nieudolnym krytykiem w technice, zamiast ciągłości w rozumowaniu dać bezład pojedynczych fragmentów, nadmierne wydawać krzyki oburzenia i zbyt mało zapuszczać się w faktyczne zbicie przeciwnika, lecz jednocześnie posiadać znajomość przedmiotu. Tymczasem p. D. jest zupełnym nieukiem w zakresie krytykowanego przedmiotu. Już ciągłe ubolewania, że w dziele Morgana „historyi postępu nie ma ani śladu", że „historyi plemion indyjskich wcale nie widzimy" i czynienie z tego zarzutów socyologowi, już to jedno dowodzi, jak mało on zgłębił metodologię socyologii nowożytnej. Przypomina to bajeczkę o filologu, który lingwistom, odbudowującym dźwięki i strukturę pierwotnej mowy indo-germańskiej, czynił zarzuty, iż prace ich niewiele są warte, ponieważ nie podają, jak i kiedy używa się cząsteczki ἄν. Jak mało umie ten nasz „krytyk," wykażę na jednym przykładzie. Panu D. ogromnie się nie podoba Morganowska klasyfikacya postępu— zresztą już nie sama klasyfikacya, ale podstawa, na której ją oparto, uwzględniająca jedynie przedmiotowe warunki bytu, zwłaszcza zaś źródła pożywienia*). P. D., zanim z powodu tego twierdzenia wypowiedział kilka wykrzykników, dobrze byłby uczynił, gdyby uprzednio odbył parę ćwiczeń. Należało mianowicie narysować sobie budowę kraalu kaffrskiego (oraz pojedynczych jego zagrod), następnie to samo zrobić dla pueblów N. Meksyku lub domów zbiorowych z N. Gwinei, wreszcie dla osady pelauskiej z jej budynkami gminnymi lub dla średniowiecznego zamku z tulącą się u podnóża skał wioską. Jest to wprawdzie tylko szkielet przedmiotowy, lecz daje on bardzo szczegółowe wskazówki co do 1-o wzajemnego ukształtowania stosunków politycznych pomiędzy ludźmi, 2-o sposobu podziału dóbr materyalnych w celach spożywczych, 3-o stosunków małżeńskich, 4-o w pewnym zakresie krążących pojęć moralnych itd. I gdyby ktoś chciał uporządkować ustroje społeczne według budowy mieszkań i osad, praca jego bynajmniej nie byłaby płonną, jak gotów sądzić p. D. Ten przykład może mu uprzytomnić w pewnym stopniu, dlaczego Morgan oparł swą klasyfikacyę na pokrewnej podstawie. Podobnie dobrem i pouczającem dla p. D. byłoby inne ćwiczenie: rozpatrzeć wszystkie grupy pasterskie ludzkości i zbadać odpowiednią im formą rodzinę — patryarchalno-poligamiczną; w ciągu dalszym rozebrać związek prawa macierzystego z rolnictwem bez uprzedniego szczebla pasterskiego oraz rodziny monogamicznej z rolnictwem, które wyrosło z pasterstwa. Być może, mniej stanowczo szydziłby z Morgana. Zrozumiałby wtedy i wyśmiewane (bo nie krytykowane) twierdzenie Engelsa o znaczeniu reprodukcyi gatunku i produkcyi dóbr materyalnych w kształtowaniu ustroju społecznego. Dla przekonania się o tem, poradzimy mu chociażby przerzucić kartki dzieła *misyonarzów* Howitta i Fisona o australczykach, *księdza* Hitzego i szkoły Playowskiej dla cywilizacyi tegoczesnej.

Zresztą, nie idzie nam o p. Dworzaczka. Zatrzymywać się nad nim bliżej niepodobna, gdyż sądzę, że i sam krytyk, nawet pozostając wierny swym przekonaniom zachowawczym, lecz po dostatecznem poduczeniu się, odmieni wiele z swoich zdań. Zastanawia mnie co innego — ukazanie się tej rozprawki w piśmie, chcącem uchodzić za naukowe. Że naukowość swoją *Biblioteka warszawska* otacza jakąś szatą archeologiczną i prawowiernie metafizyczną, nie zmienia to postaci rzeczy. I archeologia żąda studyów przygotowawczych, i wązka metafizyka nie wyklucza znajomości przeciwnego zdania. Tymczasem pomieszczenie artykułu p. D., w którym mamy do czynienia już nie z odmiennymi poglądami, krytykującymi poważnie inne, lecz z najpospolitszem nieuctwem, oznacza ni mniej ni więcej, jak zerwanie z dawną tradycyą. Fakt ten, w zestawieniu z innymi, jest objawem nader znamiennym. Jakoż dosyć wziąć obecnie do ręki pierwszy lepszy dziennik, aby natychmiast spotkać się z brakiem wszelkiej sumienności. Niedawno jeszcze *Wiek* pomieścił długą, naukową korespondencyę o wykopaliskach w gub. kijowskiej, gdzie spostrzegamy nieobecność najpierwszych początkowych wiadomości. Dopóki jednak taki stan rzeczy ograniczał się do pism brukowych, nie budził jeszcze głębszej obawy. Lecz od niejakiego czasu smutny ten objaw począł się rozszerzać. To nas naprowadza na myśl, że i samo nieuctwo przestało być zjawiskiem brukowem, ale że się szerzy i grozi zupełnem zalaniem naszego życia umysłowego. Lichota umysłowa ciągle czyni postępy. Jest to tem smutniejsze, że po temu istnieją głębokie przyczyny. Wśród młodego pokolenia zapanowała teraz ucieczka z kraju — z braku zarobkowania. Pozostający, z tych samych względów, muszą myśleć o wszystkiem innem, byleby nie o nauce. Sama literatura staje się tylko czasowym przytułkiem—z niej czerpie się chwilowe utrzymanie, póki nie uda się znaleźć lepszego zarobku. Nie o szerzenie wiedzy tu chodzi, lecz o kieszeń. Oto jedno ze źródeł rosnącego u nas nieuctwa. Inne znowu—to brak dostatecznej ludzi nauki, którzy poskramialiby szerzące się zło. Nie będziemy przesądzać czy jest to tylko chwilowe lub głębsze uwstecznienie naszej sumienności naukowej. Sądzimy jednak, że w każdym razie *Biblioteka warszawska* winna stać na placówce—chociażby w zakresie swego archeologiczno-metafizycznego punktu widzenia.

Lud. Krz.

*) Zauważę, że myśl ta nie jest bynajmniej oryginalnym tworem Morgana, lecz własnością, z nielicznymi wyjątkami, całej nowożytnej socyologii. P. D. zaś tak mało posiada wiadomości o socyologii, iż ją miesza z historyą i uczone dzieło socyologiczne Morgana przyrównywa do historyczno-publicystycznego — Drapera.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Cło. Do ministeryum skarbu wniesiono podanie o podwyższenie cła od zegarków zagranicznych i części składowych, używanych do wyrobu zegarków.

Agentura perska. Jeden z kapitalistów perskich, jak donosi *Kur. warsz.*, dla zachęcenia wystawców, otwiera w Odesie kantor przewozowy okazów na wystawę w Teheranie. Filia pośrednictwa ma być otwartą w Warszawie.

W Petersburgu odbędzie się zjazd kupców zbożowych dla wyjaśnienia przyczyn, szkodzących rozwojowi ruskiego handlu zbożem.

Ministeryum oświaty i komisye egzaminacyjne zajmą się opracowaniem tych gałęzi wiedzy studenckiej, które powinny być uważane za zasadnicze i które studenci powinni posiadać świeżo w pamięci przez całe życie. Komisye egzaminacyjne będą wymagać od studentów gruntownego nabycia wiedzy podstawowej, jednocześnie zaś będą uwzględniać niezbyt gruntowne wyuczenie się tych przedmiotów, które ulegają częstym zmianom, jak np. prawo policyjne. W skład komisyi egzaminacyjnej, której prezesem jest p. Kapustin, wejdzie siedmiu najstarszych profesorów wydziału prawnego uniwersytetu petersburskiego, następnie będą zaproszeni prywat-docenci i inne osoby kompetentne. Wszyscy będą rozdzieleni na trzy komitety w celu egzaminowania studentów, również podzielonych na trzy grupy. Porządek przedmiotów zależy od woli studentów.

W uniwersytecie dorpackim reformę wydziału prawnego ostatecznie postanowiono uskutecznić.

Wydawanie pozwoleń na operatorów odcisków udzielanem będzie wyłącznie osobom, które ukończyły szkołę felczerską, albo tym, którzy zdadzą egzamin odpowiadający kursom tychże szkół.

Ministeryum komunikacyi wkrótce wyda zakaz używania drzewa dla opalania lokomotyw na wszystkich kolejach. Natomiast będą zalecone: węgiel kamienny, nafta itp. (*Mosk. Wied.*).

Nowa taksa. Od 13 kwietnia r. b. za listy pieniężne *franco* za każde 15 gramów wagi będzie pobierana opłata w stosunku 10 kop.; za każde 15 gramów niefrankowanego zamkniętego listu 20 kop.; za list otwarty i za każdą część listu otwartego z opłaconą z góry odpowiedzią — po 4 kop.; za 50 gramów pakietów wysyłanych pod opaską — 2 kop. Niższa

skala opłaty za przesyłkę dokumentów określa się po 10 kop., za próbki zaś towarów po 4 kop. Za niedostatecznie frankowany list zwyczajny lub zwyczajną przesyłkę pod opaską — płaci się w stosunku podwójnym do kwoty nieopłaconej. Za asekuracyę listów rekomendowanych oraz pieniężnych — 10 k.; za awizacyę listów rekomendowanych — 10 kop. Taksy międzynarodowe za korespondencyę listową i za pakiety z wyrażoną wartością, pobierane w walucie kredytowej, obliczać po 2 kop. za 5 centymów. Opłata wagowa za wszelkie posyłki prywatne i pakiety miejscowe i prywatne w obrębie gubernii — 5 kop. od funta za każde 500 wiorst, a dalej po za 500 wiorst — po 10 kop. za każde 1,000 wiorst. Opłata nie może być niższą od 20 kop. Niezależnie od t. zw. „progonów" i innych opłat na korzyść utrzymujących pocztę, ustanowiona będzie czasowa opłata na skarb po 10 kop. za użycie jednego konia pocztowego. Przepisy o „podróżnych" będą zniesione.

Na kongres oryentalistów do Sztokholmu otrzymali zaproszenie B. Hirszband i Jan Karłowicz.

Wolne Towarzystwo agronomiczne w Petersburgu będzie pośredniczyć w wyszukiwaniu posad dla agronomów.

Spółka udziałowa przemysłowców wiedeńskich otwiera w Warszawie wielką fabrykę lamp.

Teatr. Na dochód p. W. Niewiarowskiej, wysłużonej artystki teatrów warszawskich, odbył się poranek dramatyczny.

Odczyty. P. Ochorowicz znowu poznajomił publiczność w dwu wykładach z hypnotyzmem i magnetyzmem. Co do strony praktycznej, oświadczył, że według niego tymi sposobami leczyć można tylko choroby nerwowe.

Szkoły. *Petersb. Wied.* donoszą, iż w sferach wychowania specyalnego rolniczo leśnego ma nastąpić wkrótce znaczna reforma. Oprócz otwarcia nowych szkół niższych rolniczych w gub. południowych będą zreformowane niektóre zakłady średnie rolniczo-leśne. W związku z tem pozostaje reforma instytutu w Nowej Aleksandryi (Puławach), który ma być zmieniony na akademię.

— Szkół realnych w całem państwie, nie wyłączając warszawskiego okręgu naukowego, znajduje się 101, w których pobiera naukę 20,218 uczniów. W r. z. 600 uczniów otrzymało patenty z całkowitego ukończenia kursu, procent zaś opuszczających zakład przed ukończeniem wynosi 19,2.

Powódź. Na Wiśle, Sanie, Prośnie i innych rzekach ruszyły lody. Wszędzie ogromne wylewy i zatory poczyniły znaczne szkody, zabierają ofiary z ludzi, inwentarza żywego i martwego. Drogi i nasypy kolejowe w wielu miejscach porujnowane. Na kolei Nadwiślańskiej w stronie Mławy komunikacya zupełnie przerwana.

O stypendya. Wedle postanowienia komitetu naukowego przy ministeryum oświaty, stypendyści wszyscy tutejszego uniwersytetu, kandydaci do nagród, wsparć itd. przedewszystkiem powinni się wylegitymować z należytej znajomości języka ruskiego. Dla wykonania tego przepisu, rady wydziałowe uniwersytetu postanowiły, każda w swoim zakresie, ściągnąć od studentów opracowania specyalne. Temat jest dowolny.

Katastrofy. Według wiadomości z Paryża, w głównym szybie kopalni węgla pod La Lavade, nastąpił wybuch gazów, skutkiem czego 14 górników zginęło, 6 otrzymało rany. Tegoż samego dnia również skutkiem wybuchu gazów, w kopalni Vernazède zginęło 15 górników, tyluż otrzymało ciężkie rany.

Liczba książek, wydanych w r. 1888 w całem państwie ruskiem wynosiła 4,934, z których treści medycznej 454 (8,4%). Pierwsze miejsce zajmuje beletrystyka.

Bibliografia. A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, z rycinami Andriollego, Lwów, zeszyt 2.

— S. Godlewski, *Zbiór praw* obowiązujących w guberniach Król. Polsk., tom VI, 1888.

— M. Dubiecki, *Historya lit. polsk.*, zeszyt 12 i ostatni.

W dodatku kwartalnym (Antropologii) wkradło się kilka omyłek, które na końcu dzieła sprostowane będą. Tymczasem zaznaczamy, że w zeszycie bieżącym na str. 224 w podpisie pod wizerunkiem zamiast *wysp*, czytać należy: „wyspy Trędowatych."

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Józef. Zwrot mowy zwyczajowo uprawniony.

Panu St. Ż. Utwór słaby.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Марта 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.